

Stanisław Dytkowski "Dobry", WIn, obw. Suwałki.

Urodziłem się w 1912 r. w Cisowie, gm. Sztabin, pow. Suwałki. Przed wojną odbyłem służbę wojskową, w związku z czym tuż przed wybuchem wojny ~~x~~ zostałem zmobilizowany do 2 p.uł. Potem zamieniono to na 101 pułk ułanów Suwalskiej Brygady Kawalerii. Organizowano nas jako jednostkę tyłową w Białymstoku, do którego dotarliśmy pieszo, etapami. Tutaj dopiero nas umundurowali, uzbroili, dali konie z mobilizacji, które jeszcze na pastwisku łowiliśmy.

Gdy Niemcy zaczęli zbliżać się do Białegostoku wycofaliśmy się pod Wołkowysk, gdzie na rzece Rosi stworzyliśmy obronę. Było to 16 września. Na noc wszystko ucichło. Rankiem - było trochę mglisto - około godz. 8-ej nadleciały trzy klucze samolotów. Przeleciały nad naszymi pozycjami i poleciały dalej. Byliśmy trochę tym zdziwieni, bo to były jakieś inne samoloty. Kształty niemieckich znaliśmy przecież. Może angielskie, może francuskie - pojawiły się głosy przepełnione nadzieją na pomoc aliantów. Za raz jednak usłyszeliśmy wybuchy bomb w bombardowanym Wołkowysku. Major Zukowski - dowódca pułku - był akurat w naszym szwadronie - jego dowódcą był rotmistrz Stanisław Dobrzański a ja byłem dowódcą poczty dowódcy szwadronu, którego znałem z wojska jeszcze z przed wojny i teraz od razu wziął mnie do swego szwadronu - powiedział więc rotmistrzowi, żeby wysłał patrol do Wołkowyska, sprawdzić co to były za samoloty i co tam się dzieje. Więc ten od razu zawołał mnie i mówi: Jedź i zbadaj tam. Wziąłem więc swoją sekcję - 6-ciu ludzi - i pojechałem. Mieliśmy do przebycia 6 kilometrów. Staliśmy w lesiu przeciw.

Dowiedziałem się, że koszary wojskowe zostały zbombardowane. Wojska w nich nie było, tylko cywile wynosili jeszcze skrzynki ze smalcem i słoniną z magazynu żywnościowych. W wyniku bombardowania zginęło 17-tu cywili. Wokół nas zgromadziło się już wielu

✓

ludzi, jak to zwykle, gdy pojawiało się wojsko. To Niemcy nie bombardowali frontu, tylko przylecieli tu. - Panie, to nie Niemcy, to Sowietci - wyjaśnił mi mężczyzna. - Co, jak? - byłem kompletnie zaskoczony. - A tak, dziś rano Sowietci przekroczyli naszą granicę. - Czym prędzej wróciłem do oddziału i zameldowałem dowódcy pułku o tej nowinie. Nikomu o tym nie mówcie - powiedział na zakończenie.

W poniedziałek ruszyliśmy więc pod Grodno. Maszerowaliśmy tylko nocami. W dzień odpoczywaliśmy. We środę, przed świtem, dotarliśmy na przedmieścia Grodna od wschodniej strony. Tu otrzymaliśmy rozkaz spieszenia się. Chcieliśmy przekroczyć Niemen ale zostaliśmy ostrzelani. Z kamienic, z dachów, zaczęto do nas strzelać. W jednym miejscu strzelano do nas z 4-go piętra. Zaraz tam skoczyliśmy i złapaliśmy Żyda. Miał na rękawie czerwoną o-paskę. Zaraz go rąbnęli na miejscu, bo nie było co z nim patyczkować się. Gdzieś około 11-ej pojawiły się ~~ż~~ sowieckie czołgi. Było ich 30. Za nimi szła piechota. U nas była ~~krzykrygndxxxx~~ trzypułkowa brygada kawalerii i jakiś pułk piechoty oraz dywizjon ~~kawalerii~~ artylerii, który zaczął ostrzeliwać ich przez Niemen. Czołgi przeszły przez most a nasza piechota wzięła ich w krzyżów wygień i nie przepuściła ~~sowieckiej~~ sowieckiej piechoty. Kotłowało się to ~~Sxxxxxxx~~ wszystko na podejściu do mostu.

Czołgi po ich przejściu roz~~prę~~zły się po całym mieście trójkami. Ja w tym czasie byłem na ul. Orzeszkowej. W końcu tej ulicy mieliśmy PTR - czyli przeciwpancerny karabin, my zaś pochowani byliśmy w bramach ~~gdz~~ ściskając w rękach butelki z bęzyną zmieszaną z naftą. Gdy pojawiły się na ulicy trzy czołgi nagle z bramy wykoczył chłopaczek - miał może 14 czy 15 lat - i rzucił na pierwszy czołg butelkę. Czołg zaczął płonąć. Chłopaczek jednak zamiast skryć się w bramie zaczął uciekać ulicą i został trafion

ny serią z erkaemu czołgowego. Zaraz po tym czołg wybuchł, a dwa pozostałe natychmiast wycofały się. Na innych ulicach podobno zostało trafionych następnych 9 czołgów. Reszta zaś wycofała się przez most jadąc po trupach swoich żołnierzy, rozgniatając ich tam na tym moście.

Gdy wycofali się nadleciały ich samoloty i zaczęła strzelać artyleria. To był już większy kaliber, bo dotychczas strzelali do nas z 45-tek, które nie stanowiły dla nas poważnego niebezpieczeństwa, tylko dachówki zbijszy, gdy byliśmy na dachach. Wówczas zginął przy mnie tylko jeden żołnierz - kapral i to trafiony został ~~przez~~ serią z działka samolotu, w czasie ataku z powietrza.

Dostaliśmy więc rozkaz wycofania się. Jako że rozleźliśmy się po mieście to się pogubiliśmy. Przynajmniej tak było ze mną. Raptem zauważyłem że jestem sam. Dołączył do mnie mężczyzna w granatowym płaszczu policjanta i mówi: Panie, ja tu z panem będę uciekać. - Dobrze, ale proszę przejść na drugą stronę ulicy i nie podchodzi do mnie. - Dlaczego tak - obruszył się. - Dobrze, może pan iść, ale niech pan nie podchodzi, ja nie wiem co z pana za jeden. - A chodziło mi o to, że jak tylko wojsko wycofało się, to zaraz z ukrycia zaczęli znowu wyłazić sowieccy dywersanci.

Za chwilę nadjechał na motocyklu z koszem jakiś starszy żołnierz. Mundur jeszcze był pomięty, chociaż nowutki. Pewnie przed chwilą tylko co wyjęty z paczki. Bez dystynkcji. Głowa siwa i ostrzyżona na jeża. Kierwocą był wachmistrz. Zatrzymali się koło mnie. Gdzie wy? - spytał się pasażer. - Noo, nie wiem gdzie 101 ułanów się wycofał. - Już nie dojedzicie. Będzie już z 8 kilometrów. Siadajcie na gaźnik. Jako, że płaszcze kawaleryjskie były długie, poły wcisnąłem za pas, karabin na plecy

i ruszyliśmy a ten policjant zawrócił się z powrotem. To był dywersant. Gdybym dopuścił go do mnie, to pewnie rozbroił by mnie, albo i zabił. Jak się okazało zabrał mnie gen. Olszyna - Wilczyński. Szybko dogoniliśmy mój pułk. Prowadzili mego konia. Myśleli, że zginąłem.

Wycofaliśmy się w górę Niemna. Tam był już wytyczony bród. W dno rzeki były powbijane tyczki ze słomą. Przekroczyliśmy rzekę ~~xxxxxxx~~ natomiast piechota i artyleria poszły dalej na most pontonowy i ~~xx~~ zbudowany przez saperów i tam się prze-  
na  
prawili. My zaś skierowaliśmy się ~~xxxxxxx~~ Sopoćkińie, ku litewskiej granicy. Zapadła noc. wszyscy byliśmy pomęczeni. W końcu zajęliśmy kwatery. Wieś nazywała się Biała Głina czy coś takiego. Ja z moją sekcją zajęliśmy dom od ulicy. Budynki gospodarcze były z drugiej strony, Tam były nasze konie. Pokładaliśmy się w pokoju na słomie. Było nas 4-ech i dwóch policjantów w sąsiednim pokoju byli oficerowie. w innym pokoju kolejnych dwóch żołnierzy, moich kolegów.

Gdzieś o 2-iej w nocy wpada do kuchni żołnierz i krzyczy: ~~gdzi~~  
Gdzie oficerowie? Ruscy idą!. - Ktoś skierował go do sąsiedniego pokoju. Jeden z tych dwóch policjantów, którzy spali ze mną, zerwał się i wyskoczył na podwórze i uciekł a drugi, który biegł za nim został już zatrzymany przez Ruskich. Dom był otoczony. Ja zaś zerwałem się na równe nogi i skoczyłem do okna. Gdy otworzyłem je zamarłem: przede mną stał cały szereg czołgów. Widać tylko było ich czerwone reflektory. Wstawajcie - krzyknąłem do pozostałych - Ruskie czołgi. Jesteśmy otoczeni. - Skoczyłem w róg pokoju, gdzie na moim karabinie wisiał pas z ładownicami, gazmaska i lornetka. Amunicji nabrałem trochę w kieszenie płaszcza i nie oglądając się na kolegów skoczyłem przez okno. Ci dwaj co zostali nazywali się: Sołowiej - był z Białegostoku a

drugi to był Koronkiewicz z Twardego Rogu koło Augustowa. Jeszcze spali.

Było jeszcze bardzo ciemno. Skoczyłem w ogród. Ziemiaki jeszcze tam były, takie łęciny. Trochę podbiegłem, gdy rzuciła mnie na ziemię rakietą, która nagle rozbłysła w górze i zaraz potem rozległa się seria z karabinu maszynowego z czołgu, który stał na ulicy. Padłem jak podcięty. Rakietą upadła na ziemię ale dalej paliła się jakby to było małe ognisko. Słyszę te Ruskie rozmowy dokoła. Początkowo myślałem, że dostanę, bo - jak słyszałem - to na początku nie czuje się jak się dostanie. Poruszałem się trochę. Nic nie czułem. Chyba było więc wszystko w porządku.

Płaszcz był długi i plątał mi się między nogami. Zagiąłem więc jego pokry i w nogi. Zaraz znowu rozbłysła druga rakietą i zaraz po niej usłyszałem serię z emkaemu. Tym razem nie padałem. Biegłem dalej. Czułem tylko jak serie z broni maszynowej szarpiały mi płaszcz. Natychmiast więc upadłem i zrzuciłem z siebie ten płaszcz. Gdy rakietą upadła znowu poderwałem się do biegu. Znowu wystrzelono rakieta i znowu upadłem. w końcu skryłem się za niewielką górką. Przede mną było pole. Usłyszałem jakiś ruch. Jakby wozy jechały, było jednak ciemno i nie mogłem zobaczyć. Odpiąłem więc ostrogi, żeby kółeczka nie brzęczały i poszedłem prosto przed siebie, cichutko, bo przecież nie wiem czy to swoi czy nie. Po jakimś czasie zapadła cisza, tylko od czasu do czasu to tu to tam rozlegał się strzał karabinowy. Nareszcie usłyszałem ujadanie psów. Zbliżyłem się więc do wsi. Podszedłem bliżej. Znowu gdzieś rozległ się strzał z karabinu, potem drugi. Zobaczyłem rząd stodół. Idąc między jedną a drugą wszedłem na podwórko. Z ulicy dochodził gwar wojska. Nie wiem tylko jakiego. Podszedłem do chaty i ostrożnie zapukałem w okno. wyjrzał gospodarz. Panie, co to za wojsko tu jest? - Panoczku, ja nie zanju.

ku, ja nie znajduję. wczoraj nie było żadnego. - Mówię mu więc, że uciekłem od sowieckich wojsk i tak dalej. W stodole u mnie śpi na klepisku polski żołnierz. Niech pan idzie się jego zapytać - mówi gospodarz - wczoraj nie było tu żadnego wojska. Po omacku poszedłem do tej stodoły. Rzeczywiście. Leżał tam przykryty kocem wojak. Potrząsnąłem nim. Co to za wojsko tutaj jest? - pytam się go. Tutaj wczoraj żadnego wojska nie było. - A ty kto jesteś - Polak czy Ruski - pytam się go dalej. A ty kto? - on do mnie. - A ty kto - ja do niego. Sytuacja stawała się niewyraźna. Obawiałem się czy przypadkiem to nie jest jakiś dezerterski. Przycisnąłem go więc trochę, bo zaczął się szamotać. Jeszcze ~~gdz~~ gdzie wyciągnie jakiś pistolet, a ja przecież byłem bezbronny, bo karabin zostawiłem na kwatrze, <sup>t</sup> tak uciekałem. ~~Żołnierz~~ Wyczułem, że żołnierz drży. Nie bój się - zawołałem - ~~nie~~ Polak jesteś? - No polak - wreszcie przyznał się. Z jakiego ty pułku? - Z 3-go szwoleżerów. - Masz karabin? - Mam. Miał wszystko. Mówię więc, że tu jest jakieś wojsko i ~~z~~ musimy się dowiedzieć. Za chwilę przychodzi chaziain. Panie - mówię do niego - niech pan tak posłucha, podejdzie, czy oni po Polsku rozmawiają czy nie. - On poszedł i już nie wrócił. Zaczęło się rozwidniać się. Drzwi do stodoły były lekko otwarte. Naraz dookoła zaryczały motory i na podwórzu, między stodoły, wjechał sowiecki czołg. ~~Słychać~~ Po ryku motorów poznałem, że czołgi stanęły dookoła naszej stodoły.

Słuchaj kolego - mówię do kaprała - zbieraj wszystko, a miał karabin i koc - i włazimy na strych, w zboże. Tam ~~schowamy~~ się i może jakoś przetrwamy zanim odjadą. No i ~~poszliśmy~~ wdrapaliśmy się na górę. Wlazłem między strzechę a podłogę w samym szczycie. Dookoła leżał owies w snopkach. Oderwałem ~~z~~ obłuzowaną deskę włazłem w tę dziurę, przykryłem się tą deską i na nią zgarnąłem jeszcze owies. Przez dziurę obserwowałem ostrożnie co dzieje

się na podwórzu, gdyż w międzyczasie zrobiło się już zupełnie jasno. Nagle z sąsiedniej stodoły wyskoczyło dwóch takich samych jak my polskich żołnierzy i biegnąc między czołgami przedarli się przez zaskoczonych sowietów w pole. Rozpętała się strzelanina. Raptem jeden przewrócił się, potem drugi. Dranie dostali ich - pomyślałem sobie - szkoda biedaków. Po jakimś czasie jednak ten co pierwszy upadł zerwał się, przeskoczył przez swego kolegę, który też się poderwał, i rzucili się biegiem przed siebie. Znowu rozpętała się strzelanina. Znowu jeden upadł, potem drugi i znowu poderwali się do biegu. Pomimo tego, że tyłu Sowietów strzelało do nich, Polacy jednak uciekli. Wkrótce znikli nam z widoku.

Gdzieś po pół godzinie z drugiego końca wsi dobiegła nas kolejna ostra strzelanina. Zaraz rozległy się przestraszone okrzyki żołdatów: Paliaki jadut, Paliaki jadut - i piechota czym prędzej skryła się za stodoły. Serie broni maszynowej rozlegały się coraz bliżej. W końcu rozległ się tętent koni. Gdy wypadli zza za krętu zobaczyłem, że na czele ~~kilkunastu~~ 15-16-tu okulałych koni pędził sam jeden oficer. Za nim nie jechał żaden żołnierz. Gdy przejechał jeszcze z jakieś sto metrów i on został trafiony, i spadł na ziemię. Tabun koni poleciał - spłoszony - do lasu.

Po chwili do ~~xxx~~ <sup>stodoły</sup> weszło dwóch czołgistów i krzyczy jeden: Wyłazi, kto gdzie siedzi. - Cisza. Siedzimy i nie odzywamy się. Pokrzyczeli i poszli. Za parę minut znowu przychodzą i wołają: Wyłazi, kto gdzie siedzi. - My znowu milczymy. - Znowu poszli. Po jakimś czasie przychodzą trzeci raz i wołają: Wyłazi, kto gdzie siedzi. W końcu jeden do drugiego mówi: Paliezaj. - Tak ty paliezaj - odezwał się pierwszy. Nu paliezaj durak - zdenerwował się drugi - ja tu z gwintowku budu stał. W końcu słyszę: lezie jeden na górę. Wyłaziii! - krzyknął. Wyłazu, wyłazu - raptem

odezwał się ~~ku~~ mój kolega. Okazało się, że zamiast wleźć gdzieś pod strzechę, to on na środku leżał, przykrył się tylko snopkiem i Sowiet ~~na~~ wleźł mu na nogi. Oddaj gwintowku - krzyknął Sowiet. - Naa - słyszę. Kto tu jeszcze siedzi? - Tam, siedzi w słomie - i pokazuje na mnie ten kapral. Cóż było robić. Wyłażę. Addaj gwintowku - krzyczy do mnie Sowiet. - U mnie gwintowki niet. Ja waszym sądatom adda. Ruki w wierch! - Podnieśliśmy więc ręce do góry. Człogosta - był w hełmofonie - podsunął mi nagan pod nos. No, to już koniec - <sup>będzie</sup> pomyślałem. To całe jeszcze szczęście, że jak siedziałem w tej kryjówce to poobrywałem naszywki plutonowego. Złazi! - usłyszałem. Drabiny nie było. Zsunęliśmy się więc po belce na klepisko. Tu czekał na nas piechur. Był w tym ich szynelu. Miał jakieś 45 lat. Mierzył do nas z karabinu i mówi: Szto wy duraki, szto wyż pugajetiasia? Szto wy dumajecie, szto my przisli was ubić? My przisli was aswabdzić. - Od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Jak chcą oswobodzić, znaczy nie zabiją od razu, czyli mam jeszcze szansę. Tak wy pajdziecie wsie damoj - tłumaczył dalej Sowiet.

wypędzili nas na podwórze. Akurat było po deszczu i na drodze stały kałuże, w których woda była pomieszana z potokami końskiej krwi i gliną. Dookoła leżały też martwe konie. Zapędzili nas na inne podwórko. Tu była już cała gromada tych co jechali na tych koniach. Byli cali pourabiani w tej glinie i krwi. Było nas dokładnie 59-ciu. To była zbieranina z różnych oddziałów.

Zrobiono nam rewizję. Miałem wieczne pióro. Sowiet schował je sobie do kieszeni. Okówek wykręcany też tam zniknął. Zboczył mój śmiertelny medalik, który dawali każdemu żołnierzowi. Jak szedł na wojnę. Między dwiema blaszkami była schowana karteczka z podstawowymi danymi ~~każdego~~ właściciela. Szto ty, ikonu nosisz



- rzucił się do mnie z mordą - po czym szarpnął i rzucił na ziemię. Chcesz powiesić się na tym - dodał i poszedł rewidować następnych. Nadepnąłem na ten medalik nogą i gdy ten był zajęty rewizją podniosłem go, wyostałem karteczkę i porwałem ją na drobne niutkie kawałeczki. Nie chciałem, żeby dostał się w ich ręce adres mojej żony. Teraz już byłem spokojny. Już nic nie dowiedzą się. Wiedziałem już, że z powodu takiego medalika zginął plutonowy rezerwy z mego szwadronu - Alfons Zaniewski - Sowiec od razu powiedział do niego: Tak ty oficer i strzelił mu prosto w pierś. Do mnie w czasie tej rewizji też powiedział: Ty oficer. Niet, ja nie oficer - zaprzeczyłem - ja sałdat. Kak sałdat? Sałdaty imieju włosy śniade, a ty imiejesz rude. - Eta rudawoj - od powiedziałem- czynna służba, a my zmobilizowane ~~xxxxxxixixi~~ a wsie zmobilizowane imiejut włosy dołgie, a rudawoj krótkie. - A pakażi ruki - powiedział. Pokazałem mu. Na dłoniach miałem odciski od kosa, tak, że wszystko było w porządku i Sowiec odczepił się.

Potem przyszedł do nas i odstawił przemowę: My nie przisli s wami wajewać, my przisli was aswabadzić. Szkoły będą u was za darmo, szpitale za darmo, będziecie swobodny, pójdziecie do swoich domów. Tylko jak będziecie szli, to czerwone lenty sobie ponakładać. - On tu gada, naraz straszna kanonada się zrobiła. Usłyszeliśmy trzy straszne wybuchy - potem okazało się, że trzy czołgi najechały na miny. To walczyły pozostałe szwadrony naszego pułku, bo tylko nasz 1-szy, był najbardziej zaskoczony.

Politruk czym prędzej wsiadł w samochód i pojechał a nas zostawili pod strażą. Po jakichś dwóch godzinach ten sam politruk wrócił do nas. Już zmienił tym razem mowę. Cały był ubłocony, ka py we krwi. Ło, job wasu mać - zaczął się wydzierać - zacziem wy do nas strielajecie. My przisli was aswabadzić. - Aha, to już

inna śpiewka - pomyślałem - teraz już pewnie nie zwolnią nas. Na noc zamknęli nas do stodoły, w której trzymali nas do samego rana, gdy to pięciu bajców z piechoty na naszych koniach zaczęło konwojować nas do Grodna. Pędzili nas jak stado krów, gdyż nie szliśmy w szyku zwartym. Cały czas siedłem z tym moim przygodnym kolegą, z którym ~~xxxxx~~ mnie aresztowali. Wiesz co - mówię do niego - będziem kombinować, żeby uciekać, bo coś tu niegra. Udawajmy, że kulejemy, że niby nogi poobcieraliśmy. - Chciałem wykorzystać fakt, że dwóch bajców jechało z przodu, dwóch z boku a tylko jeden z tyłu. Zaczęliśmy więc przesuwać się powoli do tyłu. w końcu zrównaliśmy się z tym bajcem. Nawiazaliśmy z nim rozmowę. Zaczął nas wypytywać skąd my jesteśmy. Powiedziałem mu, że ja od Skidla, który leżał na drodze do mego domu. I tak rozmawiając z nim próbowaliśmy zostawać coraz dalej. I gdy tak już byliśmy ze 40 m od kolumny, to poganiał nas, żebyśmy dołączyli.

Gdy zbliżaliśmy się do jakiejś wsi- były to chyba Kodziowce - spotkaliśmy dwie kobiety. My dwaj znowu byliśmy już ze 50 m za kolumną. Za nami jechał ten Sowiec. Kobiety podeszły do nas i jedna z nich pyta się nas: Żołnierze, może wy głodni jesteście? - i wyciąga spod chustki okrągły bochenek chleba. Toż nie jedliśmy dwa dni - odpowiedziałem. - To macie - i podała mi ~~mi~~ chleb. Wziąłem go i podziękowałem, a kobieta ta mówi: w pierwszej stodole, tu zaraz ~~na~~ lewo, leży ranny żołnierz spod Augustowa. Może jaki znajomy? - Nie, my nie spod Augustowa - zaprzeczyłem i poszliśmy <sup>dalej.</sup> ~~do tego rannego~~. Odkamaliśmy po kawałku tego chleba, poczęstowaliśmy Sowietę i daliśmy dla chłopaków, żeby podzielili się. Zacząłem kombinować jak by tu dostać się do tej stodoły. Znowu więc zaczęliśmy zostawać się z tyłu. Ten Ruski jechał na naszym koniu i ciągle kiwał się na siodło z jednej strony na drugą, bo nie dociągnął popręgów, które jeszcze

nasi ułani poluzowali. Ty zejdz i popręgi trzeba dociągnąć - mówię do niego. No niczewo, niczewo - odezwał się, ale owijacz mu się rozwinął i koń mu nadepnął i urwał go. wyglądał już jak kajsza.

Nareszcie dochodzimy do tej wsi i skręcamy we dwóch do tej stodoły. Kuda? - Tu ranieny leży - odpowiedziałem - pasmotrim może. - No to idźcie - zgodził się. Weszliśmy do stodoły. Na słomie, na klepisku leżał kapral. Skąd ty jesteś? - Spod Augustowa. - A z jakiej wsi? - Nowiny Bargłowskie. - A twój ojciec jak się nazywa? - Józef Skowroński. A ty skąd jesteś - mnie z kolei spytał. A ten Ruski słucha. Tu, od Skidla - skłamałem. - No to co tak pytasz się? - Ale ja idę do domu to napiszę list do twego ojca to przyjedzie i zabierze cię. - No to napisz, napisz. - Był ranny w rękę i w nogę, w łydkę, ale kość nie była uszkodzona. Pielęgniowała go pielęgniarka z Grodna, która tu została ewakuowana razem z wojskiem. Miała tam jeszcze jednego podopiecznego. Przysunąłem się do niego jak najbliżej i szepnąłem: Ty pozrywaj te naszywki, bo strzelają. - Dobrze, pozrywam. - No dociągaj, dociągaj - poganiał nas Sowiet. wylecieliśmy więc na ulicę. Ze stodoły było do niej ze 40 m, i oddzielona była ona parkanem. w tym czasie nasz konwojent podszedł do konia, którego uwiązał do sterty kłoców i dociągał popręgi. Rozejrzeliśmy się szybko po okolicy. w dole, za górką pojawił się oddział. ~~Nx~~ Z drugiej strony, na górcie, jakieś 40 m od nas, stała samotna ~~górka~~ chatka. Stwierdziłem, że nie widać nas zza tej sterty kłoców i skoczyliśmy czym prędzej do tej chatki. Na łóżku leżał ciężko ranny żołnierz. Dostał w okolice serca. Był z Sokółki. Pielęgniarka powiedziała, że z niego już nic nie będzie. Na wszelki wypadek poprosiłem gospodynię o mleko, żeby jak przyjeździe nasz konwojent to powiedzieć mógłbym, że weszliśmy napić si

się mleka. Ostrożnie odchyliłem zasłonkę na oknie i patrzę. Bajec grzebał się z tym popręgiem, grzebał się w końcu wsiadł na konia i pojechał. Wyjrzałem więc przez drugie okno. Domek stał na górze. w dole rozciągały się łąki. Proszę panią - pytam się gospodyni - czy przez te łąki można przejść do tamtej wsi - widać ją było stąd, było do niej jakieś 2 km - Ooo, panie, mokro tam. Tam niem Pomoczyćcie się mocno. A koniem tam przejedzie? - A nie, koniem tam nie da rady. Tylko jak zamaranie. No to jak koń tam nie przejedzie, to my już i tego mleka nie patrzyliśmy i poszliśmy czym prędzej przez te łąki.

Doszliśmy do tej wsi. Spokojnie tam było. wojska nie było. Cisza. Kobieta nas troszeczkę pożywiła. poprosiłem jej o czerwoną szmatę no to przyniosła jakąś starą wsypę i urwaliśmy po kawałku i pozakładaliśmy sobie na rękawy. Tak oznaczeni skierowaliśmy się na szosę do Augustowa.

Zbliżaliśmy się do Swiacka. przed wojną był tu majątek pana Górskiego. Mieścił się w nim ośrodek leczenia alkoholików. Zaraz za tym majątkiem była właśnie ta szosa. pojawili się na niej dwaj szperacze a za nimi w oddali już nadciągał cały pułk chyba sowieckiej kawalerii. więc my czym prędzej do tej szosy, żeby zdążyć ją przekroczyć, zanim oni przetną nam drogę. Udało się nam Dosłownie 10 m. przed nimi przekroczyliśmy szosę. Naczalstwo, kt które jechało z przodu odsalutowało nam i poszliśmy dalej.

Spotkaliśmy na drodze furmankę. Jechało nią dwóch chłopaków z warszawy, którzy na ochotnika zgłosili się. Byli oni w cywilnych ubraniach. Jechał z nimi jeszcze trzeci mężczyzna - wanagiel z Suchowoli. To był mój znajomy. wóz był zaprzężony we dwa konie. Z boku szedł uwiązany trzeci. Bardzo ładny koń.

Chcieli dostać się do Warszawy. No to siadajcie. Pojedziemy razem - zgodzili się na naszą propozycję przyłączenia się. A gdzie wasza broń - spytał wanagiel, który był w mundurze. Gdzie

na polu - odrzekłem. A ja to wiozę - pochwalił się znajomy - i pokazuje pistolet "Mauzer". Wyrzuć ty jego, wyrzuć - mówię. A niee - gorąco zaparkł się.- Ja jego powiozę.

Jedziemy gościńcem i nagle zobaczyliśmy trzech sowietów, którzy jechali na koniach. Wyrzuć - mówię więc jeszcze raz do niego. To wsadził pistolet do worka z owsem. Wyrzuć wariacie, bo po nas będzie, jak oni to znajdą - mówię jeszcze raz. Gdy Sowietci byli od nas jakieś 100 m nareszcie wanagiel zdecydował się i wyrzucił pistolet do rowu, w zielsko. Gdy Sowietci zbliżyli się do nas, zobaczyłem, że jeden z nich ma erkaem "Diegtiarowa a dwaj pozostali karabiny. Obszukali nas. Tak wasze żołdacy puścili nas - tłumaczymy im gorączkowo - my im addali swaje aruzie i oni kazali nak iść i kartoszki rać. - Sowietci jednak dalej szukają. Sprawdzają worki, w ten, gdzie był owies, też wsadził łapę. Nic jednak nie znaleźli. Zabrali się i pojechali. wy poczekajcie - powiedział wanagiel - i pobiegł po pistolet. No ty wariat - mówię do niego.

Jechaliśmy bocznymi drogami i chcieliśmy dostać się do szosy Augustów-Grodno. Pytamy się jednego chłopca, jak zaczął nam tłumaczyć drogę to nic nie zrozumieliśmy. w końcu jeden chłopak mówi: Panie, to niech pan nas przeprowadzi. - A ja, nie, nie mogę - zaczął chłop coś kręcić. - To niech pan przeprowadzi, to konia tego dam. Chłop pomyślał, pomyślał i wsiadł z nami. Koń był przecież piękny. Sześciolatek. Gdy doprowadził nas do szosy między Lipskiem a Grodnem mówi: No to dajcie tego konia. - To pan kupi. - Oo, to mówiliście, że dacie - rozgalił się chłop - ja nie mam pieniędzy. - Nic pan nie ma? - Ja tylko dwa złote mam. - To da pan te dwa złote. Chłop zawahał się. Pewnie pomyślał, że i to gdzie jeszcze zabiorą, ale nareszcie dał. No to bierze pan - powiedział warszawiak. Jak odwiązał tego konia, to od razu <sup>5)</sup> widać na niego i czym pre-

dziej pojechał z powrotem.

Gdy dojechaliśmy do Lipska była godz. 3 po południu. Warszawiacy oświadczyli, że tu będą nocować. Ja nie - powiedziałem - mam tylko 24 km do Cisewa. - Ale to już noc - odezwał się jeden z nich. - To nic. Ja nie będę tu nocował. Pożegnałem się z nimi i ruszyłem w drogę już sam, gdyż ten mój kolega z niewoli, też został z nimi. Chodź ze mną.- namawiałem go - Przenocujesz u mnie, a potem pójdiesz w swoje strony - bo on był z suwalszczyzny, ale nie chciał.

Zszedłem z szosy i poszedłem na Jastrzębno i Krasnybór. Tuż za Lipskiem były bagna, przez które szedł wąski gościniec. Podszedłem jakieś 2 km tym gościńcem gdy nagle usłyszałem zbliżający się huk. Obejrzałem się. Z tyłu nadjeżdżała kolumna czołgów i samochodów. Uciec nie było gdzie więc idę przed siebie. Szedłem lewą stroną. Wreszcie zrównali się ze mną. Zaczęły mijać mnie czołgi i ciężarówki, na których jechali bajcy. Ich te sztyki ki sterczały na zewnątrz. To jeden z nich zaczepił o moją czapkę i zrzucił mi ją na ziemię. Ruski zaskoczony poderwał się, bo oni byli odwrócenii do mnie plecami.

Gdy już dochodziłem do lasu, gdzie była szersza droga, jedna z ciężarówek wyjechała z szyku i zatrzymała się. wysiadło z niej dwóch oficerów i podeszli do mnie. Znowu zaczęli mnie rewidować. Popatrzyli na moje ręce i puścili mnie. Pojechali dalej. Gdy doszedłem do Jastrzębnej, tu znowu zatrzymali mnie, bo natknąłem się na radiostację polową. Nic nie znaleźli i znowu mnie puścili. w Lebedzinie pożywiłem się i ruszyłem znowu w drogę. Do domu miałem już niedaleko. Była już noc. w ciemnościach zauważyłem z tyłu zbliżające się światła. Dałem więc czym prędzej nogę w las. Przejechało z 15 pojazdów: samochody i czołgi. Pod Kryłatką powtórzyła się sytuacja. Tym razem pojazdów

było 8. Po odpoczynku w Kryłatce ruszyłem do domu. Miałem jeszcze tylko 2 km. O godz. 14-ej w nocy byłem na miejscu.

Mój brat służył w czynnej służbie w 2 p.uł. Żołnierzy z tego pułku spotkałem jeszcze przed bitwą pod Grodnem. Jak się dowiedziałem zostali rozbici pod Zambrowem. Spytałem się więc o mego brata. On był w sekcji cyklistów? - Tak. - Nie żyje. Zabitym. Gdy przyszedłem do domu to była sobota, 24 wrzesień. U żony nocowała ~~nią~~ teściowa, która na ten czas co mnie nie było przeniosła się od syna. Ja przyszedłem - mówię - ale Heniek zabity. - Nieee, Heniek już w środę przyjechał - mówi żona. A Wacek? - Nic o nim nie wiadomo. A wacek służył w 76 p.p. w Grodnie też w czynnej służbie. Starszy to na jesieni miał się zwalniać a wacek wiosną został wzięty do wojska. Spałem jak zabity. Nareszcie mnie budzą: wacek przyszedł!. I tak to skończyła się nasza kampania wrześniowa.

---

Wracając jeszcze do momentu jak mnie wzięli do niewoli i rewidowali. A kakoszka za cziem nosisz? - spytał się bajec - Za ~~czem~~ cziem ta kakoszka - wziął się na orzełka - oderwij. Zdjąłem czapkę i oderwałem ale zauważyłem w tym miejscu, gdzie był orzełek kosmyk włosów. Obejrzałem zdziwiony czapkę dokładnie. Na lewym rogu polówki była mała dziureczka. Wiem, że moja czapka była cała. w tym rozgardiaszu - pomyślałem sobie - pewnie zamieniłem ją i wziąłem czyjaś, ale zajrzałem do środka pod ceratkę, gdzie widniał podpis właściciela. Patrząc - moja. Ahaa, ta dziurka to od kuli, gdy uciekałem w nocy z naszej kwatery. Po płaszczu to czułem jak szarpały pociski a tego już nie poczułem. Tak, że dosłownie milimetry zadecydowały o tym, że żyję.

Gdy ja wyskoczyłem z tego domu, to wszyscy wtedy pozrywali się z posłania. Oficerowie prosili gospodarza o cywilne ubrania.

- opowiadał mi o tym jeden z kolegów, który wydostał się z tego kotła - W czasie tej przedłużającej się krzątaniny, pomimo całkowitego okrążenia budynku Sowietci nie próbowali wejść do środka. Po początkowej panice wszyscy uspokoili się. Oficerowie ponownie włożyli swoje mundury i zaczęli obmyślać jak by tu wydostać się z tej pułki. Było tam 6-ciu ułanów. Każdy z nich miał po 6 granatów: 3 bojowe i 3 zaczepne. Łącznie mieli więc 36 granatów. Gdy więc zaczęło się już przejaśniać, powiązali granaty po dwa i jednocześnie, przez wszystkie okna zaczęli obrzucać czołgi stojące na ulicy i stanowiska sowieckie. Sowietci cofnęli się za budynki a wtedy Polacy przez okna i drzwi wyskoczyli w pole. Sowietci otworzyli silny i celny ogień. Rotmistrz Dobrzański dostał w tył głowy. Kula wyszła oknem, natomiast Korokniewicz został trafiony pociskiem z działka 45 mm w głowę, którą całkiem rozniosło.

-----

wybory to były w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. To chodziliśmy na nie do Huty. Na sali było takie hasło: Wesoło, krasiwo, zdarowo i da szczęśliwo. Każdego spisali, oddał głos o dostawał kartkę, na którą mógł kupić kanfietów pół kg. Nie było takiego co by nie poszedł, bo by na Syberię wywieźli. Ile przecież rodzin wywieźli od nas z Cisewa. wywieźli np. rodzinę inż. Kulczyckiego, kierownika fundacji, w której pracowałem. On, żona i córeczka znaleźli się na Syberii, natomiast najstarsza córka i syn ocaleli, gdyż byli w Warszawie, gdzie przed wojną studiowali. I co się stało. Żona chociaż była chorowita to wróciła z córeczką - która, gdy ją wywozili miała 12 lat, natomiast inżynier zmarł tam, pewnie z ~~prze~~ wyczerpania, bo pracowali w lesie. Wywieziono też rodziny gajowych: Nowickiego, wyszyńskiego, Dąbrowskiego, Rodzewicza i tylko ten ostatni przetrzymał te warunki. Pozostali zmarli.

Od razu Sowietci zaczęli organizować dla nas mityngi. w Szta-



w Sztabinie był taki Rybaczkow, politruk na gminę. On mówił nam że największe straty oni ponieśli w Grodnie, gdzie miało zginąć 12 tys. żołdatów. Duże straty mieli też ponieść w Równem, a tak to nigdzie indziej.

-----

Jeszcze wracając do Grodna, to tobyło gdy dostałem się do niewoli i na drugi dzień pędzili nas do Grodna Napole<sup>o</sup>ńskim gościńcem, którym Napoleon ~~wziął~~ <sup>szedł</sup> na Rosję, to w jednym miejscu stały spalone dwa polskie samochody. Jeden z nich ciągnął działko 45 mm, które stało na pozycji bojowej. Obok niego był stos łuszek tak wielki jak mój pokój. Leżały tu też niewypały. Było pzbawione zamka, gdyż Polacy jak wycofywali się to albo zabrali go ze sobą, albo wyrzucili. W rowie okalającym ten gościniec który stanowił rów strzelecki leżeli pobici polscy żołnierze. Po drugiej stronie gościńca rozciągała się łąka i za nią bagna. Leżały tu sterty trupów bolszewików. Było ich tyle jak jak sнопów w czasie żniw. Jeden z piechurów leżał tuż przy gościńcu, to widać było, że dostał z działka, bo g głowy nie miał. ~~Także~~ ~~u~~ tyłu stały unieruchomione czołgi. Między trupami piechurów, ~~kt~~ którzy byli w siwych szynelach widać było również trupy czołgistów w czarnych kurtkach. widocznie czołgi nie mogły przejechać przez bagna i ich załogi zostały spieszzone. Polaków zabitych mogło być około 20-30, natomiast Sowietów było na pewno kilkuset zabitych. Polacy jeszcze wycofując się podpalili zapewne swoje samochody, bo spalone były, a wycofali się dopiero wtedy gdy zabrakło im amunicji.

Amunicję to karabinu przeciwpancernego wyfasowaliśmy dopiero pod Grodnem. Gdy ten ~~człopek, który~~ czołg, co został spalony przez chłopaka na naszych oczach, wypalił się to otworzyliśmy

właz i zajrzeliśmy do środka. Kierowca siedział przy sterach. Głowę miał zwieszoną do przodu, natomiast w wieżyczce leżały dwa zwęglone trupy. Tłuszcz ze spalonego ciała ściekał z nich. Reszta naszej brygady przeszła na Litwę. wszyscy dostali żołd w wysokości 120 zł i jak to Polacy mając taką kasę ~~xxxx~~ - bo polskie pieniądze miały na Litwie wartość taką jak przed wojną a pół litra kosztowało 2 zł - zaraz zaczęli używać sobie życia. Dziewczynki i wódeczka. Jak który Litwin próbował oponować, to cicho siedź-mówili do niego. W końcu doszło do tego, że powiedziano im albo zostaną rozbrojeni i internowani albo niech wracają tam skąd przyszli. Dużo z tych stron, z Suwalskiego i Augustowskiego, z powrotem przekroczyło granicę i wróciło w swoje strony.

-----

Jak we wsi Sowieci organizowali mityng to sołtys zganiał. wszyscy co byli w domu, musieli iść. Rybaczkow mówił, że Polksza prapadka sa wsiom i już nie wierniotsia. Normalnie sieli swoją propagandę, że kolchozy pozakładają, do ich założenia jednak już nie doszło, bo Niemcy uderzyli.

Przewodniczącym sielsowietu był Kapłoneńko - pijak z tych starych, co to na Suwalszczyźnie ich pełno. Sołtysem w Cisewie został Michał Romanowski. On to latał i wyznaczał chłopów na furmanki<sup>na</sup> podwoły, wywózki do lasu. Mnie buty trzeba kupić, bo do lasu nie mam w czym iść - krzyczał do mego ojca, ale ojciec nie przejmował się nim, bo to był głupiec. Na wiosnę 1940 r. został aresztowany i mój ojciec zastąpił go.

Aresztowanie Romanowskiego było związane z następującym wydarzeniem. W Białymstoku przodownikiem policji kolejowej był Władysław Pycz - sierżant. Jego siostra była moją sąsiadką w Cisewie. Gdy przyszli Sowieci Pycz zaczął się ukrywać. To trochę był w Cisewie, to w Krasnoborkach u brata - jednym słowem po ro-

dzinie. Jego szwagier, mąż mojej sąsiadki, był osadnikiem woj-  
skowym i któregoś razu Pycz ostrzegł ich, że będą wywozić osad-  
ników. Więc, gdy NKWD przyjechało w nocy, to ten szwagier wó-  
dział to - został ostrzeżony na kilka dni przed tym - i z całą  
rodziną: żona i trzech chłopaków - ~~wzięksi~~ zostawiając całą  
gospodarkę - uciekli do Krasnoborek koło Sztabina i tam przepre-  
wili się przez rzekę i dotarli aż do Suchowoli, gdzie przetrzy-  
mali całą sowiecką okupację.

W majątku, w którym była nasza fundacja, Sowieci zorganizo-  
wali sowchoz i spędzili tam cały majątek tych co powywozili:  
bydło, konie, świnie. Tak samo i od tych moich sąsiadów zabrali  
wszystko.

Niedługo potem przyszedł do swojej siostry ten Pycz. Nie wie-  
dział, że ich już nie ma. Zajrzał do środka. wszystko było poo-  
twierane. Nikogo nie było. Ja wtedy byłem w pracy a moja żona  
szła właśnie do kooperatywy coś kupić i zobaczyła tego Pycza.  
Akurat w tym momencie pojawili się milicjanci z ze Sztabina:  
wolski, Grosel i waljo. To byli Polacy. Szli gościć, a Pycz  
właśnie wyszedł na podwórko. Moja żona zawołała do niego cicho:  
Panie Pycz, niech pan ucieka, bo tam milicja, więc ten ścieżką  
koło naszego domu pobiegł na kolonię, gdzie stał tylko jeden  
dom. wtedy waljo, z różgą w ręku, wyskoczył do przodu i zaczął k  
krzyżeć: Paaniee! Niech pan zaczeka. - więc Pycz zatrzymał się.  
A żona to wszystko widziała. Milicjant podszedł do Pycza, coś  
do niego powiedział a ten wyciągnął z rękawa pistolet i strzeli  
waljo okręcił się w miejscu z upadł. Pycz podszedł do niego jesz  
cze siedem razy wystrzelił do trupa. Pistolet zabrał i ~~wzięksi~~  
odszedł. A ten Waljo to przed wojną to był zwykły pastuch. Pis-  
tolet miał za pazuchą a z różgą leciał.

Po tym wszystkim Sowieci aresztowali sołtysa, ~~zabrali~~ oraz

Krutula.  
meo sąsiada. Do mojej żony to przyjeżdżali chyba z 10 dni po kolei na przesłuchania, ale żona nie miała nic do powiedzenia. A gdzie mąż - wypytywali. Jak żona powiedziała, to przyjechali i sprawdzili. A ja pracowałem na budowie u chłopca na kolonii. Aresztowali też takiego Pisarskiego. Wszyscy trzech zostali wywiezieni. Z nich trzech tylko Pisarski wrócił, pozostali dwaj zmarli w Rosji. Dla tego milicjanta urządzili uroczysty pogrzeb. Powieźli go aż do Augustowa. To był pierwszy taki wypadek w okolicy.

Jeszcze jak NKWD-ziści przyjechali na dochodzenie, to jeden z nich podszedł do zabitego, pokiwał nad nim głową i mówi: Ech, pagib ty durak, pagib. - a ten walio chciał strugać takiego przedwojennego wygę i chciał aresztować tego Pycza. A ci dwaj Drusel i Grosel to tylko z za węgła wyglądali. Żaden nie podszedł. To nie byli Żydzi. walio był pastuchem na gminę Dębowo, krowy pasł po wioskach, wolski był fornałem w Cisewie, w fundacji u inżyniera Kulczyckiego, a Drosel był chyba zdunem - piece robił. Sekretarzem w sielsowiecie w Sztabinie był Kazimierz Stelmaszuk, żyje jeszcze. Ma dziś 90 lat. Ale on to był neutralny. Był z naszej wsi. ~~Wzixprzeł~~ w maju 1941 r. namówił mnie, żeby wziął pożyczkę, bo mówi: U nas w gminie dają pożyczki dla biezkarownych, dla tych co krów nie mają. - No toż ja mam krowę - mówię. A kto cię tam będzie sprawdzał - odrzekł.- Dają to bierz. No dobrze. Napisałem parę słów. W końcu dostałem wezwanie do gminy i dostatkem 300 rubli. Krowa kosztowała 600 rubli to ja pojechałem do Augustowa 13 maja na jarmark i kupiłem świniaczka za 250 rubli i gęś kupiłem na mięso, bo dzieci miałem. Swiniak to była loszka i zobaczyłem, że potrzebuje knura. Zaprowadziłem ją do sąsiada. we wrześniu miałem 9 dorodnych prosiaczków. Zysk był tym

większy, że przecież miesiąc później Niemcy uderzyli na Rosję.

Gdy zostałem członkiem AK przeprowadzałem ~~większymi oddziałami~~ oddziały Bolesława Piaseckiego na Wileńszczyznę. Jako ostatni szedł sztab - 33 osoby. w Kryłatce zostali zaatakowani przez Niemców - to był październik 1943 r. Kapelan - oficer - był z Łodzi. To była wina wyłącznie Piaseckiego, za to, że ponieśli straty. Zginęło u nich chyba 3 ludzi.

Te oddziały, gdy przybywały na nasz teren, to zawsze miały <sup>lesie k.</sup> dniówkę w wsi Zmojdak, gm. Jaminy. Zabierałem ich stamtąd i prowadziłem przez Podcisówek i Hutę, którą oczywiście omijaliśmy lasem i prowadziłem do Balinki. Przy torach kolejowych czekali już miejscowi i przeprowadzali przez tory bo w Balince byli Banschutze - straż kolejowa. I zawsze wszystko było w porządku. Żadnych kłopotów. Jednego razu pamiętam szliśmy przez wieś Długie która była otoczona przez bagna i nie można było jej ominąć w żaden sposób, bo to była długa wieś. Musieliśmy więc iść przez jej środek. I jeden z żołnierzy odłączył się od oddziału i wszedł na podwórko, żeby napić się wody ze studni ~~na~~ Zauważył to dowódca - por. "Szczesny" krzyknął do niego ostro i ten zaraz zawrócił, tak, że nawet nie napił się tej wody. Potem taki Raducha z Cisewa mówi do mnie: Stachu, we wtorek przez Długie partyzanci szli. - A skąd wiesz?. - Bo szwagier mój, Michałowski, mówił. ~~xxxxxxx~~ Tam jeden zalatał do niego wody się napić a jego dowódca jak wrzasnął na niego, to ten się nie napił. - A dużo ich tam było - spytałem się. - No, gdzieś ze 300-tu. - A ich było 65-ciu.

Tak, że nasi odbierali ode mnie te oddziały przy torach. Obserwowali tych banschutzów, przeprowadzali ich przez tory i prowadzili do bazy oddziału "Komara" - Jasińskiego. Tam mieli kolejną dniówkę i maszerowali na Brzozowe Grądy, oczywiście prowa-

dzeni przez przewodnika.

Gdy więc przyszedłem do Zmojduku przeprowadzić ten sztab zastałem ich już na miejscu. wyszedł do mnie jeden z oficerów, ps. "wężyk" poszedł i zameldował Piaseckiemu o moim przybyciu po czym przyszedł i mówi: Dowódca prosi, żeby pan przyszedł. - Ja nie pójdę, przecież tam są moi znajomi - zdenerwowałem się. To był dom Tomaszewskiego, a jego brat był ożeniony z moją stryjeczną siostrą. Zawsze wieczorem zachodziłem tam. - Nie pójdę - mówię. Ale dowódca chce, żeby pan pokazał mu drogę na mapie. - Nie pójdę. - Ale przecież oni przysięgę złożyli - namawiał mnie usilnie "wężyk". W końcu już nie dałem rady dalej mu się opie-  
zaskoczony  
rać i wszedłem do środka. A tu zaraz Tomaszewski do mnie: Panie Dytkowski, a co pan tu robi? - Ja wiem? Szedłem z Czarniewa i zatrzymali mnie tu. Nie wiem czego ci panowie chcą. Piasecki poprosił mnie do stołu. Pokazałem mu drogę. Tu Balinka - mówię. Tu kwatery będzie? - Nie, <sup>na</sup> przy biwaku, przy oddziale. - Ooo, to już jest październik - biadoli Piasecki - my nie mamy ciepłych kocy i płaszczy to gdzie my będziemy na biwaku odpoczywać. Gdzie tu kwatery jakieś? - A gdzie ja dam. Gdzie ja tu kwatery znajdę. Do mnie, to nawet, żeby chcieliście, to do mojej chałupinki i tak nie znieściecie się. Z 10-ciu będzie na dworze. A zresztą to jest tylko 5 km, to czy warto marnować noc na te 5 km. - To tu w Kryłatce, niech pan zakatwi kwatery. - w Kryłatce my nie mamy swoich człoków. - To niekoniecznie musi być członek, aby dobry Polak. - No, Polacy wszyscy dobrzy, nawet ci co Niemcom służą - odpowiedziałem. - To tu na kolonii są dwa gospodarstwa - mieszkali tam Ostapowicz i Żukowski. To tu na tej kolonii chcemy - mówi Piasecki. Żukowski to ma 7-mioro dzieci. No Ostapowicz Jan, którego znałem, miał jedno dziecko No to dobrze, poszedłem do niego. Zaprowadziłem ich tam. Stuka ją w okno. Nie chce otworzyć. Jego żona płacze, pies szczeka, a

ja celowo trzymam się w cieniu, żeby mnie nie poznał. Bo tu jeden znajomy, tam drugi znajomy. Ale słyszę zaraz: Panie niech pan idzie i powie co my za jedni. Oni się boją otworzyć.. Cóż było robić. Podszedłem i mówię: Panie Ostapowicz, to są polscy żołnierze. - Otworzył drzwi. Psa trzeba przede wszystkim zamknąć - mówię. A we wsi był przecież posterunek żandarmerii. Gospodarz zamknął psa do piwnicy. Reszta weszła do środka.

Zacząłem zastanawiać się co tu robić, bo przecież w Balińce na mnie czekają. Niech ze mną jeden idzie - mówię do tych oficerów - ja pokażę drogę i jutro już pójdziecie tam sami. - No zaszedliśmy do Balinki. Powiedziałem, że oddział zatrzymał się na dniówkę w Kryłatce. Ustaliliśmy, że mają tu przyjść następnego dnia na godz. 10-tą wieczorem. No i dobrze. Wróciłem tam. Kobieta w kuchni obiera ziemniaki, warta w kuchni gra w karty a reszta ta śpi w pokoju i jeden wartownik jest na zewnątrz, schowany za krzakiem bzu. Podszedłem do tych wartowników i pytam się: A gdzie gospodarz? - wyszliśmy do wsi po wódkę. - Czyyyście zwarowali? A jak on Niemców na was naprowadzi? - A nie, on przy sięgę złożył - mówi jeden z nich. Ja już zezłościłem się dokładnie a oni mnie jeszcze dają 200 marek, żeby im słoniny gdzie kupić. No, na wsi bili świniaki, więc można to było kupić. Kilo-gram kosztował 30 marek. Wziąłem te pieniądze i poszedłem do domu. Położyłem się spać. Gdzieś o 10 godzinie przyszedł do mnie mój kolega, dowódca kompanii AK na gm. Sztabin, Czesław Stolarczyk "rakietą". No i jak? - pyta się. Opowiedziałem mu więc wszystko. Co, oni powarowali, czy co? - krzyknął złapał się za głowę. Postawiłem ówiartkę bimbru i po kieliszku wypiliśmy. w tym czasie moja żona kopała na polu u sąsiadki ziemniaki. Raptem wpada do domu i krzyczy: w Kryłatce bój. wskz Wskakujemy na podwórze. Słyszymy jak grają automaty, wybuchł granat i nagle

wszystko ucichło. Za chwilę na gościniec wypadł w <sup>na koniu</sup> pekny galopie ~~markowin~~ Ostapowicz i krzyczy do mojej żony: Przepadliśmy. Niemcy napadli. - Po jakimś czasie nadeszła jego żona z dzieckiem na rękę i z pretensją do mojej żony krzyczy: To pani mąż tych bandytów napuścił - a ludzie będący na polu wszystko słyszą. Potem Ostapowicz mówił, że szła koło jego domu córeczka Zukowskiego, jego sąsiada. ścieżka prowadziła przez gospodarstwo Ostapowicza. Niosła mleko do zlewni, do mleczarni. I prawdopodobnie ten dureń wartownik wylazł zza tego bzu, zatrzymał ją i pyta się: Gdzie ty idziesz?. - Mleko niosę. - I on ją puścił, zamiast zatrzymać. Potem jak mi opowiadali chłopci z Kryłatki dziewczynka ta przyniosła mleko do zlewni i mówi: U Ostapowicza to partyzanci są, bo w bzie z karabinem jeden stał. - A sołtys który tam był chywił ją za gębę, skrzyczał: Co ty takie rzeczy opowiadasz i natychmiast wyrzucił ją stamtąd. Nic to jednak nie pomogło, gdyż dowiedział się o tym Machaj z Kryłatki, który był schutrzmanem na tamtejszym posterunku żandarmerii /może jego żona gdzie tam była i dowiedziała się i jemu doniosła/. Dość, że Niemcy zciągnęli posiłki z Krasnego Boru, ze Sztabina i miejscowych. Podeszli lasem, żeby wartownik nie zauważył. Łącznie było ich 16-tu. Otoczyli więc te zabudowania - nie wiedzieli tylko jacy to byli partyzanci i ilu ich było - z 200 m i ostrzelali zabudowania serią z lekkiego karabinu maszynowego "suki", jak my go nazywaliśmy. w tym czasie ~~we~~ wszyscy partyzanci <sup>Zaskoczeni</sup> spali. Powyskakiwali w bieliźnie i wyskoczyli na pole, biegnąc pod wzniesienie. Niemcy pociągnęli po nich kolejną serię z IKM-u. --ciu zostało zabitych i jeden ranny w ramię. To tylko całe szczęście, że Niemcom zaciął się ten IKM, bo byliby wszystkich wytkukli, ale gdy się zaciął i zobaczyli, że tych partyzantów cała chmara ~~ich~~ - a myśleli, że ich tam tylko kilku - to przestraszyli się i uciekli. Natomiast por. "wężyk", który



~~pan~~ znał drogę do obozu pod Balinką, pozbiierał swoich ludzi i w biały dzień poprowadził ich przez pola, gdzie pracowało mnóstwo ludzi i wszyscy ich widzieli. Gościńcem od szosy augustowskiej - prowadzonym do Kryłatki - jechał rowerzysta. Zatrzymali go: Co ty za jeden? - Ja jestem z AK - odpowiedział. bo w Kryłatce nas Niemcy napadli i i dziemy do Balinki a jutro Oo, to dobrze, ~~taki~~ ~~przez~~ ~~przez~~ ~~przez~~ ~~przez~~ ~~przez~~ - i puścili go. No kto to-będziemy mieli dzieńkę w Brzozowych Grądach. widział. Przecież kto miał w czasie okupacji rower? Nawet sołtys nie miał. A to był niejaki Dębski z Augustowa, który był agentem Gestapo.

No i poszli oni do tej Balinki a potem do Brzozowych Grądów a Niemcy, którzy nie wiedzieli, gdzie szukać partyzantów w Balince, wiedzieli natomiast gdzie ich szukać w Brzozowych Grądach, bo tam były tylko dwie gajówki i leśniczówka. Leśniczy<sup>n</sup> Krysiuk i wszyscy gajowi byli członkami AK. Niemcy zrobili na nich obławę. To jeszcz jeden z nich, członków AK, pojechał do Jasionowa i kupił u gospodarza wieprza i ten gospodarz wiózł dla nich tego wieprza, to ~~jeszcze~~ Niemcy zabili i jednego i drugiego, tego - Bogu ducha winnego - gospodarza. To tak robi dowódca oddziału. Jemu było za zimno, nie chciał nocować w ziemiankach. ~~Tak~~ Tak robili Uderzeniowcy, jak my ich nazywaliśmy. Ich znak rozpoznawczy to był orzeł na tarczy i na tym litera U. Jeszcze ten "Szczęsny" to zachowywał się jak należy, natomiast ten Piasecki ze swoim sztabem, to nie było wojsko. Inteligenci z warszawy i poznańskiego.

A był jeszcze jeden numer. W czasie gdy oni stali w Kryłatce, jeden z podchorążaków uzyskał od Piaseckiego zgodę na odwiedzenie swego wujka koło Kolnicy. ~~Wszak~~ Oczywiście, pod warunkiem, że wróci następnego dnia przed odmarszem oddziału. Ten jego wujek to był pan Jagłowski - oficer. Niemcy później zamordowali go. Gdy więc ten chłopak przyszedł następnego dnia wie-

czorem, zobaczył, że nikogo nie ma a budynki postrzelane z widocznymi śladami walki. Postanowił więc odszukać mnie. Wiedział że jestem gdzieś z Cisewa, ale nie wiedział gdzie mieszkam, ani nie znał mego nazwiska. Wiedział tylko, że mieszkam w małej chałupce pod lasem. Trafiał tam do innego gospodarza oczywiście. Ten skierował go do mnie. Co się stało? - pyta się. Opowiedziałem więc co i jak. Gdzie ja ich znajdę? - Człowieku, ja nie wiem, gdzie ich szukać? - Tylko żona poczęstowała go jedzeniem, gdy sąsiad wpada: Niemcy! - Moja chałupka była jakieś 50 m od gościńca, którym zaraz przejechały trzy ciężarówki niemieckie i zatrzymały się 200 m dalej. Uciekaj człowieku - krzyknąłem do partyzanta. Zerwał się i pobiegł przez łąki w kierunku szta- Niemcy stali na górze i lornetowali teren, widzieli bińskich lasów. Były one bagniste. Dzieciom kazaniem czym prę- więc, że ktoś ucieka. dziej biec do mego ojca, chatę zamknąłem na klucz i z żoną zaczęliśmy w kierunku lasu ale patrzymy, że już i od tej strony zbliża się obława. Na polu dziewczynka pasła krowy. Żona kazała iść jej do domu: Ja twoje krowy popasę - popasę. Ja zaś patrzę, że nie mam gdzie się skryć. Na dodatek mam na sobie mundur przed wojennego podoficera a w kieszeni pistolet "Wagen" - radomiak, policyjny. Skryłem się więc za krzakiem w łożninach. Widzę, że Niemcy podeszli do chłopca, który orał na polu i usiadł ~~na~~ za krzakiem, żeby odpocząć chwilę. Kto to poleciał - pyta się go Niemiec ostrym tonem. Nie wiem - odpowiedział zdziwiony, bo zajęty był przecież pracą i rzeczywiście nie widział, więc Niemcy rzucili się na niego i stłukli pałami. Patrzę, a oni idą już do żony. Ich pies lata już dookoła i węszy. Kto tam poleciał? - wydziera się Niemiec. - To tam, sąsiada chłopak do krów poleciał - odpowiedziała - na łąki do krów - dodała a pies już z 50 m ode mnie. Spłoskam pistolet i myślę: Psa kropnę i siebie kropnę, bo innego wyjścia nie ma, ale Niemcy uwierzyli żonie

i ku mojej uldze poszli z powrotem. Zona powolutku podeszła do mnie i mówi szeptem: Siedź, siedź, odchodzą, odchodzą.

Drugi raz to było w święta wielkanocne. Poszedłem do kościoła do Sztabina. Tam spotkałem mego dowódcę - "Rakieta". Jest - - mówi - przesyłka do oddziału. Przyjdź jutro to odbierzesz ją. Zgłosiłem się więc z samego rana. Ale z pistoletem musisz iść - - mówi do mnie. Były to ważne dokumenty - rozkazy od "Mściskawa" I do tego jeszcze 16 tys. marek gotówki. Ze Sztabina wróciłem przygodną furą. W domu żona zawinęła w dużą serwetę ciasta, babki i inne takie wielkanocne przysmaki a pod spód tego wszystkiego włożyła tę przesyłkę. Związała cztery rogi i poszedłem. W kieszeni tkwił pistolet. Miałem odnieść to do Balinki do Andruszkiewicza, on zaś dostarczał otrzymywane ode mnie przesyłki do oddziału. Miał pseudonim "Bocian". Było ich 4 braci, drugi miał pseudonim "Swierk", Bolesław był najstarszy i był żonaty.

Zachodzę tam do nich, do Balinki akurat chrzciny mieli dziecka Bolesława. Zaszedłem a ten "Bocian" pijany, śpiewa: Alleluja, Alleluja. Bolesław mówi do mnie: wie pan co. Da pan to dla mnie to wszystko i pistolet. Ja to schowam, pan pobawi się u mnie na chrzcinach a jutro pan z nim załatwi. - w porządku. Zgodziłem się. Oddałem mu te rzeczy. Popikem tam z nimi i następnego dnia załatwiłem tę sprawę z "Bocianem". Dał mi pokwitowanie na tę przesyłkę i wracam do domu. Zbliżam się do Długiego tą groblą przez bagna, co to ich nie można ominąć i pod samą wsią spotykam Niemca. ~~xxxxxxjxxxx~~ Cofnąć się nie mogę, bo mnie kropnie z długiej broni. W bok skoczyć też nie mogę bo bagna. Pistoletu, który tkwi w kieszeni wyrzucić już nie mogę, bo widzi mnie. Był jakieś 40 m ode mnie. Cóż robić. Idę na niego. A tu ulicą maszeruje ulicą 35 esesmanów z kompanii SS ze szkoły w Sztabinie. Chciałem przejść przez ulicę przed nimi zdjąłem więc czapkę i mówię:

Dzień dobry. - Dzień dobry, stań! - krzyknął Mazur jeden. - w razie czego przynajmniej jednego kropnę - myślę sobie. Gdzie idziesz? - pyta się z mazurska. - Do domu. Gdzie?. - Do Cisewa. A gdzie byłeś? - Na chrzcinach byłem. - Gdzie?. - w Balince. U kogo? - U Andruszkiewicza. - A co tu niesiesz? - więc odchyliłem róg zawiniątka. Niemiec spojrzał i zobaczył te ciasto. A dokumenty masz?. - Mam. - Przekożyłem zawiniątka do lewej ręki wyjąłem portfel i wyciągam je. - No to idź. Gdy odszedłem jakie 200 m. to żeby mnie kto trącił w twarz to wszystka krew by uciekła, tak byłem zdenerwowany.

Brałem też udział w likwidacjach szpicli Gestapo. Dawali mi zwykle na taką akcję dwóch ludzi. Jednego to znałem. Był w Augustowie Sylwawonowicz. Pracował w mleczarni. wszystkie mleczarnie w powiecie kontrolował. Zdjęliśmy go na drodze od Sajenka, którą jechał rowerem na skróty. Pięciu nas było. Tam go kropnęliśmy. ~~Pięciu nas było. Tam go kropnęliśmy.~~ To było w 1943 r. Z kolei w Sztabinie był kochanek aptekarki - hrabiny Chommy. Z Niemcami zadawała się. On też do Niemców jeździł. To go między Cisewem a Kamienie ja sam go kropnąłem. W Sztabinie zaatakowaliśmy posterunek żandarmerii. Też w 1943 r. Jeden z chłopaków kropnął przez okno Niemca, który tam pracował. Zginął akurat Niemiec, który był dobrym człowiekiem. Weszliśmy do środka, gdy jedli obiad. Byliśmy w mundurach Niemieckich. Najpierw powiedzieliśmy: Heil Hitler! a potem: Haen de Hoch! - Akcją dowodził kapitan Buczyński czy Burzyński "Jacek". Dokładnie nie pamiętam - Kazaliśmy wszystkim rozebrać się. zegarki też kazaliśmy pozdejmować i zamknęliśmy ich w piwnicy. Ręce związaliśmy im niemi maszynowymi: Który rozerwie, to w łeb dostanie - zagroziliśmy. Zginął zaś naczelnik poczty. Był taki komisarz Dziwosz to mówił: Ooo, głupi to zginął. Oni faaajne chłopcy. Oni ode mnie flintę zabrali - no zabrali, bo im potrzeb-

na, ale dla mnie nic nie zrobili. Na tej akcji było nas z 16-17-tu. Druga taka akcja to była na posterunek żandarmerii w Sztabinie, ale nie zdobyliśmy go. To była w zasadzie akcja na aptekę bo córka tej pani Chomny należała do AK - miała na imię Hela - i powiedziała nam, kiedy jej matka będzie gościła wszystkich Niemców z posterunku. Jej matka domagała się 30 zakładników za Mariana, swego kochanka, co go zlikwidowaliśmy. I po prostu przyszliśmy za późno. Żandarmi 15 minut wcześniej wrócili z tego przyjęcia, a posterunek był tak dobrze obwarowany, że nie było co zrobić o jego zdobyciu. Jak weszliśmy do apteki, to gdy aptekarka nas zobaczyła tak i zemdląca. Od razu kropnęli ją tam. Zabraliśmy wszystkie medykamenty. w tej akcji mnie nie było. Dowodził ją chyba sam km "Komar". Tej akcji nie ma nawet w książce o AK na Suwalszczyźnie. W ogóle dużo akcji nie ma tej książce.

W czasie okupacji niemieckiej byłem dowódcą placówki, co odpowiadało stanowisku dowódcy plutonu. Jednym z dowódców drużyn był <sup>"Bogdan, Mroziwski"</sup> Janek Mroź, który później - gdy zostałem dowódcą batalionu - został dowódcą mojej kompanii. Drugim dowódcą drużyny był Malinowski z Kolnicy.

Gdy Sowieci zaczęli zbliżać się latem 1944 to niemieckie transporty kołowe cały czas już były atakowane przez nasze oddziały na szosie Augustów - Grodno. W tym czasie ~~zniknęła~~ kontaktem się z "Komarem" - komendantem obwodu. Jeździłem do jego rodziny na święta Wielkanocne. Miał młodą siostrę. Janka chyba miała na imię. Ostrzegałem go przed jednym partyzantem. Nazywał się Buczko Stanisław - pierwszy starosta po wyzwoleniu w Augustowie. Pseudonim miał "Janusz". Zajmował się upowszechnianiem kultury w terenie, m.in. zbierał książki po wsiach. Powiedziałem do komendanta: On pachnie komunistą. - A co ty tam będziesz gadał - ofuknął mnie "Komar"..- wiem dobrze, gdzie on zachodzi,

A nie, to nie prawda - zaprzeczył - to nie on. Ten Buczko<sup>h</sup> był wychowankiem naszej sztabińskiej fundacji, dostawał stypendia, miał wykształcenie prawnicze. Pochodził z Krasnego Boru. Był też w oddziale. I gdy przyszedł 44 rok, ~~pierwszym~~ 17 lipca ruska brygada zmotoryzowana przerwała się przez Niemen i podeszła aż pod Augustów. wtedy Buczko wyrwał się stamtąd i na piechotę do Białegostoku poszedł. Tych ruskich to dwa tygodnie trzymali w okrążeniu Niemcy, aż przyszli Sowieci i pognali ich. Również nasze oddziały z puszczy zostały wtedy uwolnione z okrążenia a Buczko już przyszedł jako starosta. Jako, że Augustów był jeszcze przez Niemców zajęty to starostwo znajdowało się w Krasnym Borze, w jego rodzinnej wsi. Mego ojca z - który przed wojną był 13 lat wójtem - mianowicie z urzędu na wójta w gminie Sztabin. Po pewnym czasie ojciec wraca z gminy i mówi do mnie: Słuchaj, starosta wzywa ciebie i Szymańskiego - a on był u "Komara" w stopniu porucznika i miał pseudonim "Odwet". - żebyście jutro przyszli. Powiadomiłem więc go i poszliśmy następnego dnia. Kazał swojej sekretarce zamknąć za sobą drzwi. Panowie - mówi do nas - zatrudniam was do pracy w starostwie. - Panie "Janusz" a pan dla kogo przysięgę składał? Dla Polski czy dla Rosji. - Co tu ~~XX~~ Polska jest! - krzyknął starosta. - Jaka to Polska - zerwał się "Odwet". - Panie starosto - wtrąciłem się - a jaką pan mi pracę oferuje w tym starostwie? Pług, kosa - to ja tak, ale nie tu. - Ty nie pierdol! - Rzucił się z kolei do mnie - Ty będziesz pierwszorzędnym referentem pod moją ręką. Ale jak nie to nie. No to dziękuję - i poszliśmy. To było na początku listopada - 2 albo \* 3 - a już 6 listopada były aresztowania. M.in. aresztowali Szymańskiego. Mnie nie ruszyli. Może ze względu na ojca. wszystko pojechało w głąb Rosji. Później - jak siedziałem - to czytałem w gazecie, że w węgrowcu była katastrofa: samochód

wpadł na drzewo i Buczko, który nim jechał, zginął. W tym czasie był komendantem milicji powiatowej. Razem z nim zginęli też starosta węgrowski i jeszcze jakichś dwóch. \*

Pamiętam w kwietniu 1945 r. UB przyjechało i na terenie gmin Sztabin i Dąbowo aresztowali ze 30 osób. Więc 30 chłopaków od "Komara" zrobiło na nich zasadzkę między Kamieniem a Cisewem, w lesie. Pociągnęli po nich z erkaemu. Zabili 3 ubowców, wszyscy aresztowani puciekali. Zdobyli nasi erkaem i dwa automaty, to jeszcze tego erkaemu nie zabrali ze sobą, bo ubecy wyciągnęli go i zaczęli się ostrzeliwać, ale zaraz wszyscy zostali zlikwidowani, a nasi musieli się szybko wycofać i zostawili tę broń. To w Augustowie był taki młody chłopak - Kierklo Edward - już nie żyje - i ze swoją siostrą, która miała 13 lat a on miał 16 lat, poszli po tę broń i przytachał wieczorem ten erkaem i dwa automaty. Oddał to dla mnie a ja przekazałem do oddziału. Nie pamiętam już kto dowodził tym oddziałkiem: Czy "Jastrząb", czy "Mucha". "Jastrząb" pochodził z Ponizia, znad jeziora Sejneńskiego. Nazywał się Izydor Margiewicz. "Mucha" natomiast był w Kedywie.

Był też taki Orłowski "Piorun". Był w Augustowie w milicji. Potem nawiał. To zabili go w 1952 czy 53 r. w okolicach Suchowoli. Miał ze sobą 3-ech czy 4-ech chłopaków. Zlikwidowali ich na jakiejś kolonii.

Gdy komuniści przyszedli w 44 r. dowództwo wydało wytyczne, żeby wstępować do wojska i milicji jako nasze wtyczki. Właśnie Orłowski "Piorun" był taką naszą wtyczką. Za okupacji niemieckiej było to samo. Taki Dawidowicz od Białobrzegów był w Amstkomisariacie. Zabił go "Lis", który był dezerterskim z lasnego oddziału, bo wydano na niego karę śmierci za rabunki. Dawidowicz przyjechał na jakieś zebranie we wsi Motulka, gm. Sztabin,

i w nocy przyszedł "Lis" z jeszcze jednym, wyprowadzili Dawidowicza i w jakimś dole zamordowali. "Lis" czyli Stanisław Janik żyje do dziś w Augustowie i chciał nawet zapisać się do SZZAK, ale nie dopuściłem do tego.

Gdy przyszli komuniści to gmina zaraz mnie wytypowała jako leśniczego w lasach sztabińskich Fundacji Karola Brzostowskiego. To był demokrat w całym tego słowa znaczeniu. On pierwszy zniósł pańszczyznę w swoim majątku, który rozciągał się na całą gminę Sztabin i liczył 24 wioski. We wsi Huta założona była gisernia, augustowski kanał, pomniki odlewane w jego hucie do dziś jeszcze stoją chociaż mają ponad 100 lat. To wszystko do dziś jeszcze<sup>Z</sup> jest. Brzostowski zmarł w wieku lat 40-tu, prawdopodobnie na chorobę weneryczną. Pochowany jest w Paryżu obok Niemcewicza i Słowackiego. Przed śmiercią sporządził testament i cały majątek przekazał w posiadanie dla gminy. Ziemię podzielił między mieszkańców. Każdemu przydzielił po 16 morgów litewskich 400-tu prętowych co x równało się 8600 m jedna morga. Każda rodzina otrzymała tę ziemię na własność. Każdy dzierżawca zatrzymywał swoją dzierżawę na własność. Natomiast gisernia, w której wykonywano odlewy, 3 huty szkła, tkalnie - gdzie uczył zawodu młodych chłopaków /zakładami tymi zarządzali Niemcy/ - przekazał dla gminy. Również lasy stały się własnością niepodzielną gminy. Opisał to dokładnie niejaki Pietrusiński w takiej małej książeczce. Dochody przeznaczone zostały na stypendia, szkolnictwo, zapomogi dla ludzi niezamożnych, w czasie choroby, pogrzebu. W każdej wsi była karczma, ale jeżeli który chłop w karczmie przesiedział dłużej jak dwie godziny, a karczmarz nie zameldował do dworu, że ten już tyle siedzi to zapłacił 2 zł kary do szkolnej skarbonki. Jeżeli dziewczka dorosła szła z chłopakami na nocne pastwisko - kara 2 zł. Za spóźnienie się do pracy 15 mi-



nut - kara 20 kopiejek, jeżeli urzędnik w kancelarii nie zakat-  
wił interesanta w ciągu 15 minut - płacił karę. Młodzież, któ-  
ra chętnie uczyła się, dostawała stypendia, jeżeli który był nie-  
zamożny. Do dziś w gminie Sztabin są trzy szkoły pobudowane za  
jego czasów: w Krylatce, w Krasnoborkach i w Sosnowie. Stare,  
jednopiętrowe budyneczki.

Przez cały 1945 r. byłem dowódcą plutonu. Gdy "Rakieta" wy-  
jechał w sierpniu 45 r. objąłem po nim dowództwo kompanii. W lu-  
tym 1946 r. komendant obwołu Suwalsko-Augustowskiego "Tadeusz"  
wracając ze "Strugiem" - Kłoczko Piotr, zajechali do mnie do Ci-  
sewa i przenocowali. Nie znali mego nazwiska, wiedzieli tylko,  
że "Dobry", leśniczy, syn wójta. właśnie wtedy "Tadeusz" miano-  
wał mnie dowódcą batalionu. I właśnie ten Kłoczko, gdy został  
aresztowany w dzień Wielkiej Nocy - bo chciał koniecznie do domu  
na święta zajść, bo ukrywał się a przecież wiedział, że tam na  
niego czekają - wydał mnie.

Pamiętam, że przyjeżdżała do mnie z Okręgu łączniczka "Koza",  
którą doprowadzałem do oddziału "Komara". Pamiętam też, że Kazi-  
mierz Szyper "Orlik" z Krasnoberek miał zatarg z którymś z człon-  
ków AK, tak, że nawet chwycili za pistolety. Chyba już nie żyje.  
Z Krasnoberek pochodził też wacław waliewski, ~~ppor~~ podporucz-  
nik rezerwy, nauczyciel z zawodu, Kiełkło wacław z Kamienia  
aresztowany był w 1944 r. i wywieziony do Rosji. Wrócił w 1945 r  
i chyba w Popiełówce zaszedł na noc i w sadyie nazrywał gruszek,  
zjadł je i zmarł. To też był podporucznik, nauczyciel. Wszyscy  
to moi koledzy. Jeszcze za okupacji niemieckiej wacek Kiełkło  
urządził imieniny. "Rakieta", ja i wacek waliewski umówiliśmy  
się i razem przyszliśmy do niego i popijaliśmy sobie u niego  
- jak to za okupacji - bimberek. Brat tego Kierkli był w czasie  
okupacji sołtysem. No i tak siedzimy sobie przy stole, popijamy

bimberek we czterech. Naraz drzwi otwierają się i wchodzi esesmann ze Sztabina, ze stacjonującej tam kompanii. Otworzył te drzwi i natychmiast je zamknął. Ale znowu otworzył je i wszedł do środka. Zamarliśmy ze strachu, ale odzyskując refleks, żeby tylko nie przyczepił się, poczęstowaliśmy go, daliśmy kiełbasy i wyniósł się.

Sztabin i Cisów Sowieci zajęli ostatniego dnia lipca, a już 6 sierpnia były aresztowania. Pierwsze transporty odjechały do Rosji. ~~W~~ Aresztowanych było więcej niż kilkadziesiąt osób. Tylko z mojej wsi aresztowano: Kielcha, Stelmaszka i Pigla - z tej trójki Pigiel już nie wrócił. W listopadzie nastąpiły kolejne aresztowania. M.in. pochwycono "Odwęta" - Szymańskiego. Znowu kilkudziesięciu było aresztowanych. Prawdopodobnie z Białostoczczyzny zajętej przez Rosjan aresztowanych było 3000 ludzi. Byli to członkowie AK, ale byli też cywile. Np. mój sąsiad Kielcha, to nie należał do AK. Szymański to wrócił tylko dlatego, że udało mu się ukryć swój stopień oficerski.

W lipcowej obławie, w 1945 r. zginął mój brat Zygmunt. Był w oddziale "Zapały". Na terenie tej kompanii była szkoła podchorążych. Kompania ta obejmowała gminy Sztabin i Dąbowo. Brat miał pseudonim "Omega". Balinka wchodziła również do sztabińskiej placówki. Ja też byłem wtedy aresztowany, ale dzięki ich głupocie uratowałem się. ~~Spisyxxxxxxxurządzu~~ Spisy szły poszczególne wsiami. No i było tak: wieś Długie - nazwisko takie i takie, dierewnia Długie, dierewnia Długie, dierewnia Długie, a moje nazwisko było pierwsze na liście we wsi Cisów, zaraz po wsi Długie. No i pytają się mnie nazwisko: Stanisław Dytkowski - podałem prawdziwe, ale Sowieci źle zrozumieli i napisali Witkowski Stanisław i dierewnia Długie - nie pytał się mnie z jakiej ja wsi, bo myślałem, że to jeszcze wieś Długie leci. Jeszcze

Jana wyszkowskiego, też zapisano go do dierewni Długie, potem jeszcze jednego i dopiero wtedy zaczynała się u nich na spisie dierewnia Cisów i gdy zaczęli sprawdzać spisy aresztowanych ze swoimi spisami przeznaczonych do aresztowania: witkowski Stanisław, Długie - nie mają takiego na liście. To mego brata najmłodszego - miał 14 lat, było nas 4-ech braci i wszyscy byliśmy aresztowani - postawili pod ścianę i krzyczą: Skażi, kuda twój brat, bo ubiju. - A skąd ja wiem. Szukajcie jego, ja nie wiem panie - krzyknął brat. On jeszcze żyje i ja a czterech - ~~moim~~ najstarszy braci już zmarło. No ten Zygmunt to zginął. W Fiedorowiźnie zostali wtedy aresztowani moi wujkowie: Orłowski Antoni i Orłowski Mieczysław, Mieczysław - syn Antoniego to też akowcy byli. w tych okolicach pojawiał się też oddział "Groma". "Zając" ze swoim oddziałem wstąpił do IWP i poszedł walczyć za komunistów na Berlin.

Gdy zostałem we wrześniu 45 r. dowódcą kompanii to działań żadnych nie by podejmowaliśmy. Chodziło o to, żeby przetrwać ten najgorszy okres w konspiracji. Szymański "Odwet" to miał jeszcze syna - Leszka, ps. "Topola". Był zastępcą dowódcy II kompanii. Młodszy jego syn Wiesiek zginął jeszcze w czasie okupacji niemieckiej. Szymański "Odwet" był moim nauczycielem, gdy w 1919 r. poszedłem do szkoły. Akurat wtedy u nas w Hucie objął 4-rooddziałową szkołę. Musiał mieć wtedy co najmniej 18 lat. Był u moich rodziców na kwaterze, a ojciec mój od razu, od 1918 r. był wójtem. Po sąsiedzku mieszkał taki Nejfeld i Szymański ożenił się z jego córką - wikcią, i gdy po dwóch latach wyremontowano starą szkołę, to oni poszli tam mieszkać. To on mnie 7 lat uczył, bo trzeba było chodzić do szkoły koniecznie 7 lat, więc siedziałem po jednym roku w każdej klasie, a w 4-tej klasie siedziałem dwa lata. To jak wzięli mnie do

wojska, to w ewidencji miałem napisane, że jestem analfabeta. Z całego szwadronu zebrali chyba z 19-tu takich analfabetów. Zaczęli uczyć nas czytać i pisać. Od razu plutonowy Sepko zauważył mnie, że się wyróżniam. Wszyscy chodzili na ćwiczenia, a my maszerowaliśmy na świetlicę, gdzie stały szkolne ławki. I <sup>y</sup> po <sup>o</sup> pierwszym raz<sup>y</sup> przychodzi na wizytację por. Dobrzański, który później zginął pod Grodnem - co to ja wspominałem - i siada razem ze mną w mojej ławce, otwiera elementarz i mówi: Czytacie Panie poruczniku, to co ja mam tu czytać? - pytam się. - To co, nie umiecie czytać? - Panie poruczniku, jak miałem 7 lat to czytałem z tej książki - mówię zdziwiony. - A wy chodziliście do szkoły?. - Ano chodziłem. - A macie świadectwo? - To napiszcie do matki, żeby wam przysłała. - Ja nie muszę pisać. Mam je tu, ze sobą, w koszarach, w szafce. - A przynieście - kazał porucznik. A umnie na świadectwie ani jednego dobrego czy dostatecznego. Same piątki. Jak on zobaczył te świadectwo, złapał się za głowę i poleciał do kancelarii, do rotmistrza: Panie rotmistrzu, naiech pan zobaczy. Analfabeta a jakie stopnie ma. 1 listopada wzięli mnie do wojska a 1 grudnia przenieśli mnie do szwadronu szkolnego i potem zdawałem na szkołę podoficerską 1 p.uł.

W konspiracji byłem odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walcznych, ~~Krzyżem~~ Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz awansowany do stopnia wachmistrza. Gdy UB mnie aresztowało, to żona to wszystko wrzuciła do pieca.

Gdy zostałem dowódcą batalionu w 1946 r. w lutym to nie zdążyłem przejąć wszystkich kontaktów, bo "Tadeusz" nie zdążył przyjechać do mnie jeszcze raz, żeby dać mi te kontakty na podwładnych bo w kwietniu już zostałem aresztowany. Miałem tylko kontakt z patrolami dywersyjnymi działającymi na terenie mojej

kompanii.

Przypominam sobie takiego Stanisława Zięciny z Krasnoborek. Jego ojciec był ogrodnikiem. Miał siostrę Jadzię. Byli oni członkami Batalionów Chłopskich. Potem zostali wcieleni do AK. W początkach 1945 r. ojciec i córka zostali aresztowani przez Ruskich. To było tak. Jechało 3-ech czy 4-ech Ruskich bajcow, którzy handlowali solą, którą gdzieś tam skombinowali. Sprzedawali ją za hariekę, za sako, za co innego. I tego dnia jechali od Sztabina w kierunku Krasnegoboru. To była niedziela. Dom Zięciny stał trochę tak na uboczu. I dziewczyny szły do kościoła. Akurat wtedy nadjechali wtedy te Ruskie i jak to oni: Ooot barisz ni, pajebać nada - i zaczęli gonić te dziewczyny. Tak one zaczęły uciekać do tego Zięciny. A u niego pod stodołą był bunkier, gdzie znajdowała się radiostacja, radio i inne takie rzeczy. W tym czasie kilku ludzi, w tym ~~xxx~~ m.in. "Mucha" z kedywu, nie wiem czy Jadzia tam była, czy nie, słuchali radia. I te dziewczyny, które uciekały przed Ruskimi wpadły do tej stodoły. Ruskie za nimi, więc one ~~podni~~ w krzyk. W tym momencie jeden z siedzących w tym bunkrze podniósł klapę, żeby sprawdzić, co to za krzyki. No i nie wiem jak to było, ~~skł~~ czy tych aresztowali czy nie, ale tego starego Zięciny i Jadzię wywieźli do Rosji, a we wrześniu wrócili do domu<sup>już</sup>.

W Kolnicy był taki por."Wirski" - Grajewski, który był dowódcą oddziału. Potem jednak przeszedł prawdopodobnie na współpracę, w Suchowoli to do 46 r. żadnej władzy nie było, ani wójta, ani gminy, ani milicji. Nic. Dopiero w lutym 1946 r. ściągnęli UB z całego województwa - byłem w tym czasie w Suchowoli i widziałem jak aresztowali masę ludzi. Dopiero wtedy obsadzili tę gminę. Do tego czasu działał tam bez kłopotów "Maciej Różga".

W kwietniu 1945 r. zlikwidowano trzy M agentki NKWD: Ostrowską, Sobolewską i Zalewską. Ostrowska pracowała w starostwie, Zawistowska to była kurwa. Ze wszystkimi zadawała się. Sobolewskiej to nie znałem. O Ostrowskiej to różnie mówią. Może ona była winna a może i niewinna.

Była też taka Rozalia Przekop ze wsi Rzepiski koło Kolnicy. Też była agentką i została zlikwidowana. Zawistowska to była bezdzietnica. Nie mieli dzieci. Jej mąż ~~zająkowską~~  <sup>miał</sup> przed wojną warsztat, w którym robił odlewy, maszyny, kieraty, młocarnie. Transmisje przywoził z Wilna. Natomiast w Krasnoborkach był Tadeusz Masłowski, taki nieduży, kawaler jeszcze i on z tą Zawistowską /ona była z domu Rusiecka/ zadawał się. Nikt nie wie, ale służąca Zawistowskich powiedziała o wszystkim swemu chlebodawcy: Paanie, pan nic nie wie. Pan jedzie za towarem, a tu do pana żony przychodzi taki jeden. - No to Zawistowski powiedział żonie, że jedzie po południu za towarem do Grodna i wsiadł na furmankę i pojechał. Zatrzymał się w Muracie - pierwsza wieś za Sztabinem - i wieczorem wrócił. W tym czasie jego żona już powiadomiła kochankę, który wieczorem przyszedł. Gospodarz natomiast wszedł do domu po kryjomu i schował się pod stołem skryty przez długi obrus, który z niego zwisał. Poczekał aż oni wypili wódkę i poszli do łóżka. Wtedy on wyskoczył i z pistoletu strzelił Masłowskiemu w tyłek i poszedł nap postereunek policji. Za tydzień czasu wybuchła wojna i było po sprawie. Ona potem i z Ruskimi się puszczała, i z Niemcami.

Potem był taki Stanisław Piekarski z Jasionowa. Wielki działacz PRR-u. Gdzieś tam dostał w łeb. Na jego pogrzeb przyjechał jakiś inny wielki działacz z Augustowa. Nie pamiętam jak się nazywał. Nie miał jednej ręki. I nad trumną Piekarskiego - chowali go w Krasnymborze - mówił: Towarzyszu Piekarski. Zemścimy się

na tych przeklętych skowcach. Za parę dni szedł do Rosji transport zboża z Prus Wschodnich i partyzanci zatrzymali go na stacji w Jastrzębnej, po czym wezwali chłopów z okolicznych wsi, żeby zabrali całe te zboże. W tym czasie przyjechał ten bezręki działacz z Augustowa i zaczął się wydzierać i grozić: Co tu się dzieje. Co to takiego? Natychmiast przestać. - Więc zaraz na miejscu stuknęli go w kęb, owsa nasypali w pysk i mówią: Zryj to co miało iść do Rosji. Nażryj się

Ksiądz Drozd, którego znałem osobiście, to był wielki patriota. Jeszcze w roku 1918 i 1919 przyjeżdżał do mego ojca i organizował zebrania. Nie wierzcie - mówię do ludzi - w te świństwa bibuły, które komuniści wam tu podsuwają. - To ja jeszcze dzieciak wtedy byłem.

Z ubeków to grasowali tu Szostaki. To byli partyzanci z oddziału "Komara". Szostak już nie żyje. Jego grób to już kilka razy profanowali. Byli też Batusy ze starowierów. Szostak to potrafił aresztowanemu zarzucić sznur na szyję, strząchnął i trup był gotowy. Ale to nie było za moich czasów. Siedziałem wtedy. A on potem był artystą ludowym. Rzeźbił.

Jak Sowieci weszli tu w 1939 r. to starowierzy - kacapy, jak my ich nazywamy - zajęli cały urząd leśny w Puszczy Augustowskiej. I dyrektor, i nadleśniczowie, i leśniczowie, gajowi - to wszystko byli kacapy. Wszyscy mieli brody. Nic dziwnego, że w 1945 r. Kudraszow z Gabowych Grądów dostał w czapę. Był też taki oficer z carskiej armii - Gołubow. Gdy jego współplemieńcy wrócili z Niemiec, dokąd wywieziono ich w czasie okupacji, za kontakty z sowiecką partyzantką, to namówił ich, żeby wszyscy pojechali do Rosji, bo tam już czekają na nich osiedla. To wy-

wieśli ich w Pińskie błota. To część z nich pouciekała stamtąd. Przyjechali z powrotem na stare miejsce i mówili, że jak on wróci, to oni jego ubiją.

Gdy mnie aresztowali w 1946 r. byłem leśniczym w lasach gminnych fundacji Drzostowskiego. W kwietniu przyjechał do mnie ja-  
inspektora leśnictwa.  
kiś gość w mundurze ~~leśniczy~~ i mówi, że w Augustowie jest narada w nadleśnictwie i że wzywają mnie tam. Zdziwiłem się tym, bo taka narada niedawno była. ~~leśniczy~~ <sup>Inspektor</sup> jednak nalegał. Cóż było robić. Ubrałem się i wyszedłem z nim. Czekała na nas odkryta ciężarówka z kierownicą. Myślałem, że miejsce dla mnie będzie w skrzyni, ale ~~leśniczy~~ <sup>inspektor</sup> skierował mnie do kabiny. Sam zaś usiadł jako trzeci przy drzwiach. W czasie drogi wypytywał się mnie, czy nie ma tu bandytów. - Nie - odpowiedziałem - nie ma tu żadnej partyzantki. Gdy minęliśmy w Augustowie nadleśnictwo obejrzałem się zdziwiony: Gdzie my jedziemy? - zapytałem. Siedź spokojnie, bandyto - usłyszałem i zobaczyłem pistolet w ręce leśnika wycelowany we mnie. Aaa, to taki leśnik - pomyślałem. Nie zatrzymując się w Augustowie pojechaliśmy do Suwałk na UB. W nocy wzięto mnie na przesłuchanie. Jako, że do niczego nie przyznawałem się zaczęto bić mnie w pięty prętem, a potem kazano położyć się na biurku na plecach. Głową wystawała poza biurko i zwisała do tyłu. wtedy zaczęto lać mi do nosa wodę. wcześniej jeszcze zakneblowano mi usta. To była straszna tortura. Nadal do niczego nie przyznawałem się. wówczas wprowadzono "Struga". Opowiedział ze szczegółami, jak to przyjechał do mnie w zimie z "Tadeuszem" i że zostałem wtedy mianowany dowódcą batalionu. Rzuciłem się wtedy do niego wściekły: Cholero, komu przysięgę składałeś. - To nie ma sensu, bo to już i tak przegraliśmy - zaczął biadolić. - I tak już nic z tego nie będzie. - A idź do diabła - odrzekłem. To znaczy najpierw obcho-



dzono się ze mną łagodnie. Gdy nie przyznawałem się do niczego wprowadzono "Struga" - Kłoczkę, a potem zabrano się już do mnie ostro.

Jeszcze jak mnie wiźli do Suwałk to jechali nie przez sztabińskie lasy, bo bali się, żeby nie wpaść w zasadzkę, ale pojechali przez Grajewo. Powiązali nas sznurem po trzech.

Następnego dnia przewieźli ~~wnieszemy~~ nas do Białegostoku. Mnie i Niedźwiedzkiego. Też ominęliśmy lasy sztabińskie i pojechaliśmy przez Grajewo. W Białymstoku od razu zawieźli mnie do więzienia. Tu kontynuowano śledztwo. Na koniec wezwał mnie dość taki sympatyczny ubek. Na koniec mówi do mnie: "Dobry", czy pan naprawdę jest dobry?. - Nie wiem, co odpowiedzieć na to pytanie. - Pokiwał głową nad tym i tak się skończyło to ostatnie przesłuchanie. Okazało się, że to był śledczy, por. Kwiatkowski, który potem powiesił się w więzieniu, gdyż został aresztowany. Prawdopodobnie za to, że był wtyczką AK.

Na proces to wozili nas w konwoju, który ubezpieczony był przez dwie tankietki - jedna z przodu i druga z tyłu, a w rodzaju ciężarówka, na której my jechaliśmy /nie pamiętam czy była jedna ciężarówka, czy dwie/. Na ciężarówce siedzieliśmy otoczeni z przodu i z tyłu przez żołnierzy KBW. Sądzili nas w teatrze przy Kilińskiego. Jak dowiedzieli się, że ma być odbicie nas, to już szpaler był z jednej strony i z drugiej. Co trzeci z KBW miał erkaem. Jeden przy drugim stał aż do wejścia.

Proces trwał 8 dni. Od 13 lipca do 20. Gdy przejeżdżamy każdego ranka patrzymy a oni jeden na drugim stoją. A co za cholera? To była pokazówka, a od tej chwili już publiczności nie było. Rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Nic nie wiemy co się dzieje. Ja siedziałem na pojedynce, pod numerem

12-tym. W nocy strażnik otworzył drzwi i mówi: Chodź tu. - wyszedłem, a ten mówi do mnie szeptem: Powiedz "Jerzemu", że plan ten, co was mieli odbić, nie udał się. Zdradzony! - Gdy więc następnego dnia rannym wieźli nas na rozprawę powiedziałem majorowi o tym. No tak - pokiwał ~~skutkiem~~ <sup>zrezygnowany</sup> głową. Na sprawie zachowywał się jak każdy. Tłumaczył się ile mógł. Nikt przecież nie wiedział jakie zapadną wyroki. Gdy je odczytano to tylko jeden Słowikowski zapłakał, ale on później został ułaskawiony, bo miał obywatelstwo amerykańskie. Karę śmierci zamienili mu na 8 lat.

Na sprawie były też elementy humorystyczne. Jeden z nas tłumaczył się tak oskarżony o posiadanie broni: Ja broni nie miał. Niemcy przyszli do mnie i oni na stole coś tam jedli i położyli tę broń. Jak Ruscy wyskoczyli to oni uciekli i zostawili tę broń ~~xxxxxxxxxxx tym xxxxx robił xxxxxxxx~~ A jaki to był karabin - pytają się jego. O, taki - pokazał chłop palcami odcinek kilkucentymetrowy. - To był Chotyński. I co pan zrobił z nim? - Ja wziął dwa drewna, ja jego w rękę nie brał, zaniósł i do torfownika wrzucił. - No i uniewinniony został.

Mnie od razu na śledztwie powiedzieli: Wydać swoich podwładnych. - A w jaki sposób ja mogę wydać. Mój poprzednik uciekł. Mnie komendant powiedział, że ja obejmuję dowództwo batalionu więc ja pytam się co i jak mam objąć? - No to na razie ja nie mam tu list, to drugim razem przyjadę, to przywiozę. To potem Niedźwiedzki mówi do mnie: Ale ty inteligentnie się bronisz. A przecież gdyby człowiek chciał mówić, to ile by wysypał.

Jak w więzieniu siedziałem to jakie ludzie mieli wyroki. Coś okropnego. W okolicach Ciechanowa gospodyni lepsza była. Mieszkała tylko z córką. Gospodarstwo żadne miała. To była wdowa. Miała styczność z organizacją. Jakiś jej znajomy pracował

w UB i on prawdopodobnie starał się o jej córkę czy coś takiego. Gospodyni miała jednak parobka, który nie tylko, że był nieokrzesany, ale i niedorozwinięty. Pewnego razu ubek zaczął jej grozić że będzie siedział, gdyż oni już wiedzą, że ona ma kontakt z organizacją, chyba że jej córka wyjdzie za <sup>tego</sup> ubka. Więc gospodyni wpadła na pomysł, że z jej córką, która miała 18 lat ożeni się ich parobek - Władzio, który miał już 32 lata. Ty jesteś teraz tutaj gospodarzem - powiedziała do niego. Gdy więc UB przyjechał do nich na rewizję spytali się najpierw o gospodarza. To ja - powiedział Władzio. Bez dalszego pytania zabrali go ze sobą. Dostał 8 lat. Tej swojej żony to pewnie nawet za kolano nie potrzywał, taka to była para.

Był też gajowy z okolic Bełchatowa - Kopka. Ktoś oskarżył go, że ma karabin. Wzięli go za tyłek i zawieźli na UB. Skąd, ja nie mam żadnego karabinu - zaprzeczał płaczliwie. No to w tyłek, w tyłek, po piętach dostał i powiedział: To żonka wie.-Pojechali do niej. Skąd ja mam mieć karabin. Nic nie wiem - krzyczała, Przywieźli ją na UB, wsadzili za szafę, wprowadzili jej męża<sup>a</sup> i pytają się: Gdzie karabin?. - Toż powiedziałem, że żonka wie. - Słyszka pani? - spytał głośno śledczy. - Ty szalony, a co ja wiem o jakim karabinie - niemal już płakała. - A dobrze, że ty tu jesteś. Sprzedaj konia i krowy, kup karabin i oddaj dla nich, bo mnie tu zatłuką. - Nic mu to nie pomogło i tak dostał 8 lat.

Ja skazany zostałem na 13 lat więzienia. 13 sierpnia pojechałem w transporcie do Wronk. 13 września skierowano mnie do Barczewa. Po roku, 13 maja 1947, zaczęło się drugie śledztwo. Jeszcze wtedy siedziałem w Barczewie. Byłem świadkiem w śledztwie mego łącznika Jana Wyszkwoskiego "Janusza". Jako, że groziło mu nie więcej niż 5 lat zastosowano wobec niego amnestię i wy

puszczono na wolność. Dla mnie amnestia zdjęła 1/3 wyroku, który zmniejszono do 8 lat. Gdyby nie to, że przyznałem się na śledztwie, że miałem broń, to dostałbym 8 lat i amnestia złagodziła by mi to do lat 4, a tak odsiedziałem pełne 8 lat.

Jeszcze we Wronkach czy Barczewie to było <sup>2</sup>unośnie, ale jak nas przewozili do Rawicza, to to była komedia. Więzienna ubrania zabrali nam a naszych nie wydali. Dali nam tylko płaszcze więzienne, ~~które~~ tak, że tylko je mieliśmy na sobie i bieliznę: koszule i kalesony. Wzięli nas w więźniarkach, w kłatkach 80/80 po pięciu w więźniarce i na stojąco. Jeden z nas, Michałowski /Czy to ten ze sprawy Rybnika? - J.K./, biedak nie miał kaleson to, gdy prowadzili nas przez miasto, to ten płaszcz fruwał mu na różne strony. Ludzie gapili się. ~~xxxxxxx~~

W Rawiczu siedziałem do 1950 r. Szukają krawców - ja krawiec zgłaszam się. Najpierw na próbę. Nic z tego nie wyszło. Szukają ~~szewców~~ szewców - ja szewc. Na próbę. Znowu nic z tego. W końcu udało mi się zostać stolarzem. Wzięli mnie do stolarni na próbę. Spotkałem to na moje szczęście znajomego z Suchowoli. A co pan tu robi? - spytała zaskoczony. - Jak to co. Siedzę. - I chce pan tu pracować? - Kochany, chcę pracować, ale ja już i za krawca podawałem się i za szewca i nigdy nie przyjęli mnie I tu znowu jakaś próba. Pewnie znowu nic z tego nie wyjdzie. - Słuchaj - mówi do mnie - dadzą trzy hebelki. Jak zapyta się co to jest, nie mówić że to hebel. To jest strug. Jak będzie pytał się, który z nich najlepszy, to trzeba powiedzieć, że one wszystkie dobre są, tylko każdy ma inne przeznaczenie: zdzierak, wyrównacz i gładzik. A jak raszplę dadzą, to jak zapyta się co to jest to nie mówić, że to raszpla tylko arnik /tarnik - J.K./. No i przyjęli mnie na stolarza. Dwa lata pracowałem jako stolarz. Nauczyłem się tej stolarki tak, że potem wyrabiałem 175 % normy

normy. W końcu stycznia 1950 r. przewieźli mnie do Strzelec O-polskich. Trafikiem na więzienny majątek. Tu już nie było śad-nych murów ani niczego. Zamykali nas w baraku o godz. 8 wieczorem. Brak pilnował więzień z kijem w ręku. Tu już było prawie jak na wolności. Stolarsnia dopiero powstawała. Ja ją właśnie objąłem. W biurze nie mieli nawet porządných mebli. Stoły to by-ły deski na kozłach, a siedziąło się na deskach położonych na pierkach. W biurze tym spotkałem znajomego ze Sztabina - Szes-tyńskiego. No i co ty tu będziesz robił - pyta się mnie. - Ja wiem. W Rawiczu to byłem stolarzem. - Stolarzem - zdziwił się zadowolony Szestyński - Tak, Grabowski, chodź zobacz, stolarza mamy. - I tak to zostałem tu stolarzem. To było po południu. Następnego dnia rano ten Grabowski - to był architekt - zaprowa-dził mnie do tej stolarni. Nie było tam wiele: jedna heblarka, p-piła tarczowa. Przychodzi dyrektor Radzicki - jedyny cywil w tym więzieniu, \* chłopisko 150 kilo - To co, wy stolarzem jeste-cie? - pyta się mnie. - Tak. - A wy biurko umiecie zrobić. - U-umiem, ale jakiego typu, bo różne są. - A jakie umiecie, takie zrobicie - zakończył. Mówił powoli, grubym głosem. To było 29 stycznia. Do końca tego dnia zrobiłem te w biurko. - Ooo, piękn-ne biurko - dyrektor był zadowolony. - Tylko panie dyrektorze, trzeba albo farby, albo denaturat, żeby je wypolerować. - O to nie-ch was głowa nie boli. My mamy malarza. wy róbcie te biurka. - A ile mam zrobić. - Róbcie. - To w lutym zrobiłem jeszcz<sup>6</sup> 7 tych biurek. - A teraz róbcie wieszak - powiedział dyrektor. Zeby dobry wieszak zrobić, to trzeba mieć kotły, żeby to wyparzyć, a nie miałem przecież tego. Jak tu zrobić? - myślałem. W końcu jednak zrobiłem go bez większych problemów. Dyrektor znowu był zadowolony. W A wy meble ~~przekracznie~~ byście odnowili? - Dlaczego nie, tylko potrzeba mi do tego wielu materiałów: oliwę,

denaturat, szerylak, wata, trochę gałganów. - Dobrze. I zaprowadź dziś mnie do swego domu. Miał piękne stare niemieckie meble. Dwa tygodnie odnawiałem mu jemum. Jak dyrektorowa to zobaczyła, to nie wiedziała co mi dać w nagrodę. Ja z powodu długotrwałego siedzenia w więzieniu miałem chory żołądek, byłem więc na diecie to ona mnie i mleko i kaszę mannę kupowała i cukier. Jak były święta wielkanocne przychodzi do mnie więzień, który doglądał jej krów i świń i pyta się: Który to pan Dytkowski. - Ja jestem. - Pani dyrektorowa panu przysłała i daje mi potężny tłumok, a w nim placki, kiełbasa, szynka, pisanki. Pełno tego było.

Potem to już każdy do mnie przychodził. A to strażnikowi zrobić trzonek do siekiery, innemu stolnicę, temu mały stołeczek, zydełek - które po śląsku nazywali oni ryczka. Miałem tu już jak u pana Boga za piecem. W końcu wysłali mnie w delegację do O-pola po odbiór tarcicy i kanciaków. Jako mój konwojent pojechał strażnik - stary dziadek. Zaszliśmy do biura. Daliśmy dokumenty. Urzędnik pyta się: Który to pan Dytkowski? - Ja. - To pan zostanie - mówi do mnie - a pan niech wyjdzie na korytarz - mówi do zaskoczonego strażnika. - A dlaczego. Ja muszę pilnować. To więzień. - Proszę pana, ale pan nie upoważniony, to ściśle tajne. - I ten strażnik już chce wychodzić. - Stop - powiedziałem widząc to - Proszę pana, ja jestem upoważniony, ale jestem więźniem, a to jest strażnik, który mnie przywiózł, za mnie odpowiada, on wyjdzie, a ja panu oknem ucieknę i co będzie. Kto będzie odpowiadał. - No tak - zgodził się urzędnik - nie będzie. No wyszliśmy stamtąd po załatwieniu sprawy a dziadek mówi: Zajdziemy do tego sklepu - pokazuje na mały sklepik tuż obok - chcę wnuczce organki kupić. - weszliśmy tam, on wybiera przy ladzie a ze sprzedawczynią rozmawia inna kobieta i słyszę jak mówi do niej: Pani pożycz 50 zł, bo nie mam, a pani oddam. Sklepową dała jej 50 zł i kobieta ta podeszła do mnie i daje mi te pie-

niądze: Niech pan to weźmie. Mój mąż też siedzi, może kto jemu też da. - widzę, że strażnik patrzy więc mówię: Dziękuję bardzo proszę pani. Mnie nie wolno pieniędzy brać. - A dziadek usłyszał to i mówi: Kobieta daje to bierz i podziękuj. - Patrzy, ja mam diety 18 zł i na ciebie 18 zł. To teraz pójdziem i pół litra wypijem. - W restauracji to ja nie mogę z tobą być, ale ja tu mam ciotkę, to do niej pójdziemy. - Zaszliśmy gdzieś tam od podwórka do jakiejś kobiety: Proszę panią, niech ten pan posiedzi tu troszkę, ja chcę kupić coś do zjedzenia. Może posiedzieć. - A niech posiedzi, niech posiedzi - skwapliwie zgodziła się gospodyni. Dziadek poszedł, przyniósł pół litra - to ja wypikem dwa kieliszeczki, kobieta też troszkę a dziadek nie żałował sobie. Gdy zaszliśmy na stację to już miał nieźle w czubie. Spotkaliśmy tam sowieckich bajcow, takich po 17-18 lat. Było ich ~~5~~ 5-ciu. Obskoczyli mnie zaraz: Szto ty, tiuremszczik. - No, tiuremszczik. - O job twaju mać. - Jeden sięga do kieszeni, wyjmuję już papierosy - Nielża, nielża i wpycha mi je do ręki - Ujdz job twaju mać, ja toż siedział 5 godów. - O cholera, 18 lat, a już tyle odsiedział. No to nabrałem tych papierosów, żeby rozdać na tym majątku, bo szczególnie kobiety ciągle chodziły i prosiły: daj zapalić.

Już na peronie stoimy, gdy nagle nadszedł Naczelnik z jeszcze jednym i do mnie: Co wy tu robicie. - Pnie naczelniku, w delegacji jestem, załatwiałem<sup>7</sup> tu sprawę tarcicy. - A naczelnik patrzy na dziadka i mówi: Alje wy ładnie pilnujecie. I wy traficie do domu. - Panie naczelniku, na pewno zajedziemy - mówię za dziadka. - No to pilnujcie jego, żeby wam nie uciekł - zwrócił się do dziadka. No i jak dotarliśmy do więzienia, to po paru dniach zabrali dziadka do więzienia i tam siedział na bocianie.

Potem to już wszędzie jeździłem. Jak potrzeba było cegłę przywieźć, ciągniki załatwić, jakieś blachy to mnie wysyłali. Ci Ślązacy jak mnie zobaczyli to każdy starał się coś dać. Pamiętam któregoś razu idziemy do góry na kładkę nad torami, patrzą schodzi gość z dużą teką. Zatrzymał się przy mnie. Szefie - mówi do mego strażnika - można jemu dać kasek kiełbasy. - No to daj. - Ten otworzył teczkę i wyciąga kiebasę grubą jak ręka Masz pierunie, ja też 6 miesięcy siedziałem - mówi. I papierosy były i wszystko. Jak załatwiłem tarcicę - to było 275 metrów - i trzeba to było potem przewozić ze Strzelec Opolskich na ten majątek. To trzeba było przewieźć furmankami i traktorami. To kobiety ciągle prosiły mnie, żeby załatwić im papierosów. To jeden z nadzoru mówi: Pieronie, ja ci dam więcej, a ty nie możesz tak z 10 metrów zostawić tej tarcicy. Podpiszesz, że ~~wzięta~~ wzięłaś, kto cię tam sprawdzi. - To on dał mi 2500 zł. Kupiłem za nie babom i cukierki i papierosy. Zadowolone były.

Hodowla była duża. Mieli 320 krów, 500 świń, fermę kur i kaczek. Nie było dnia, żeby nie było uboju z konieczności. Syn weterynarza, który ~~opiekował się~~ pracował tu, też siedział. ~~Rzeka~~ Potem już w tym majątku pracowało kilka rodzin wolnościowych. To ~~my~~ oni, strażnicy i my - bo płacili nam trochę - mogliśmy kupować na miejscu <sup>wieprzowina</sup> rąbanek, bez względu co to było, czy łeb czy szynka, po 11 zł. Wołowina i cielęcina była po 6 zł. Mieszkaliśmy w dawnych dworskich zabudowaniach dla fernali. To każdy z nas mieszkał w małej kajutce. Do piecyków na zimę przysługiwało nam po 5 kg węgla dziennie, a ja, jako, że ~~pracowałem~~ <sup>pr</sup>pracowałem przecieś w stolarni to tych odpadków miałem całą masę. To jeszcze i ~~innych~~ innych ~~innych~~ zaopatrywałem w te odpaki. Mieliśmy i garnki, i patelnie i ogród: 15 ha. Inspekty, szklarnie, ogórki, pomidory. Mleka przysługiwał nam 1 litr, ale człowiek nie wypije tyle sam, więc



braliśmy po pół litra. Na wielkanoc weterynarz Topczak to przyniósł nam litr spirytusu. Schowaliśmy go na strychu, za komin-kiem. Rozrobiliśmy go z kawą. Było nas dziesięciu. wśród nas był kapuś - Sokoł. No i po odebraniu paczek, które jak to zwykle przysyłają na święta i wypisek zebrał się we 4-ech: Ja, Szestwiński co to był przed wojną sekretarzem w gminie, Topczak Tadeusz i pan Chojecki z Warszawy z MSZ. w MSZ-cie to pracował on ~~jeszcze~~ jeszcze przed wojną. Kiedy jednak nastali Szyr i Mine to 200 pracowników MSZ-tu poszło za kratki. Chojecki dostał 12 lat. - usiedliśmy przy stoliku i tak po kolei chodziliśmy na strych wypić szklanę. No i tak raz, drugi, trzeci i gdy tak wygoliliśmy litra spirytusu, to już dobrze nam się kręciło we łbach. No i ~~poświętając~~ świętach wzywa mnie komendant. Skąd wódkę mieliście - od razu rzucił się do mnie. - Panie komendancie, a co panu się przysniło - zdziwiłem się. - Nie przysniło się - krzyknął komendant - Byliście pijani. - Aaa, o widzi pan panie komendancie. Teraz wiemy już kto jest kapuś w naszej celi. Zaczeliśmy udawać pijanych, zaczęliśmy szaleć i wiemy, że Sowa panu... - Nie gadajcie głupstw. - Ja nie głupstwa ~~xxxi~~ mówię tylko tak było. - Uciekaj. Tamtych już nie wzywał i tak sprawa się skończyła.

2 maja 1954 r. wyszedłem na wolność. Oczywiście jak mnie aresztowali, to byłem w eleganckim mundurze leśniczego. w Białymstoku zabrali mi go i dali jakiś samodziak ze lnu. Jakieś rachmany dostawnie. I takie dostawem jak wychodziłem. Gdzie ja w nich pojedę - pomyślałem sobie. wstyd. Ciepłutko było. Z kasy żelaznej dostałem 1580 zł. Wtedy to były duże pieniądze. Kupiłem więc w restauracji coś do jedzenia i poszedłem do parku. Liczył on kilkanaście hektarów i był piękny. Zaklimatyzowano tu wszystkie rośliny jakie tylko się dało. Poleżałem więc sobie

na skórcu a po południu poszedłem do hotelu i wykupiłem nocleg. Kosztował ~~xx~~raptem 20 zł. Gdy zszedłem na dół do restauracji, żeby kupić jakąś kanapkę, ku memu zdziwieniu spotkałem dyrektora ogrodnika i agronoma, którzy już byli wolnościowymi pracownikami. A co pan tu robi? - No co robię. Zwolniony jestem z więzienia i nocleg tu sobie wykupiłem. - A kiedy pan jedzie. - Jutro. - Nie dzisiaj? - No w takich łachmanach nie pojedę. Dzisiaj sklepy pozamykane, a jutro kupię sobie ubranie i pojedę. - To oni biorą mnie i idą do restauracji. Kupili pół litra wódki, przekąski. Wypiliśmy. To teraz do nas idziemy na majątek - zdecydował dyrektor. Nie wstydzili się, że ja byłem w tych łachmanach. Kupiłem więc litr wódki i pojechaliśmy. ~~z~~ Poszliśmy do ogrodnika, który dom miał w ogrodzie a dyrektor i agronom poszli po swoje żony. Przyprawdzili je to my jeszcze 3 litry wódki wypiliśmy. Do drugiej w nocy tak balowaliśmy. Rano wstałem i poszedłem do miasta i za 1000 zł kupiłem sobie garnitur, koszulę, bieliznę, spodnie, ~~skarpetki~~ skarpetki, krawat, jednym słowem wszystko. I wtedy pojechałem do domu.

A to wiersz, który napisałem w czasie okupacji sowieckiej, jak to mówili, za czasów demokracji:

Bo ja wróciłem stamtąd

Czy wiecie gdzie to jest?

To tam gdzie pola są cmentarzami

A śmierć czyni chrzest

To tam kędy krzyżamiznaczony jest łan

I trupy zsiniałe karne trupy idą w tan

To tam gdzie my zwyciężaliśmy

Gazety wam pisały jak tam było

<sup>4</sup>orespondenci w autach pisali o wojnie, orderach i gwałtach

Ale wyście widzieli na moich bandażach plamy

wyście widzieli tę krew, która wolno spływała

Ta moja krew więcej widziała  
Ta moja krew lepiej patrzyła  
Ja jestem prosty, nieuczony,  
Nie mam królewskiej korony,  
Ale psiakrew, żołnierz.  
W oczach mam nieba błękity  
W sercu żar niesamowity  
Kamę śmierć biorę za kołnierz  
Z rąk jej wyrywam kosę  
i chwałę Polski na bagnecie niosę.  
Ja jestem żołnierz i nie znam się na polityce  
Ale trzeba bić to chwytam choćby kłonicę,  
choćby cep i grzmocę przez zęb  
I na przód walę jak bies  
i nie znam żez ni smutku  
chyba że za dziewczyną,  
ale jak mi coś obrzydnie  
to spluwam i klnę  
Klnę od choler, solidnie  
A potem do ataku rżnę /wnet? - J.K./  
Chcecie wiedzieć jak tam było  
Oj było, było słodko, miło jak po cukierku  
Dawnoście o tym czytali w kurierku  
Bo już ja sam niepamięć  
wiem żeśmy szli  
I chmury na niebie były ogromne i byliśmy źli  
A tamci stali pod wioską  
Tośmy podeszli w błocie i słocie  
Buty mi całkiem przesiąkły  
Nogi obrzękły, ale szedł.

Zaczęli strzelać.

Pochyliłem grzbiet i padłem w trawę

A tu już armaty zaczęły ~~grzać~~ wrzawę  
szrapnele

Ze był huk i ~~grzmoty~~ pękaly,

Zem był w krwi i błocie cały

A obok padł jeden z mojej wsi

To i nie dziwno mi

Nie pierwszy on i nie ostatni.

Naraz pada komenda: Baaagnet na broń! Naaprzód! Huraa!

Biegnę i ja, wtem słyszę głos:

Hej pan, zdawaj sia w plen!

Patrzę: który to. To tam. Lece na niego.

Ale poczułem na twarzy ciepło.

To deszcz, deszcz, na pewno deszcz

Wtem mnie przeszedł dziwny dreszcz

I na akroni krew poczułem niezakrzepłą

Trafili mnie. Trafili ~~niek~~ psiakrew! Zginę

Ale wprzód tego co się tam pod chatą kryje

bagnetem przebiję.

Dopadłem go, pchnąłem jak się nie odwinę

Mocny był, ale mu trzewia wypadły

I ze kba wytrysnął mózg

A potem tuż przy chaty murze

Runąłem w kałużę

I słyszałem deszczu nieustanny plusk.

wy może myślicie, że ja bohater.

Nieeee, ja jestem żołnierz jakich jest tysięcy sto

I jednego tylko chcę

Nie trza mi waszej pochwały

Ja chcę, żeby był ze mną naród cały

Zeby ta moja krew nie poszła na mgłę  
Ja jestem żołnierz i nie znam się na polityce  
Ale tak jak pacierza uczyli mnie rodzice  
I tak mnie nauczyli, że Polska jest jedna, wielka ~~ixsiłax~~  
I silna być musi jak lew! Piskrew!.

Spisał Jerzy Kutak